MYŚL NARODOWA

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VIII. Nr 22 WARSZAWA, 15 WRZEŚNIA 1928 R. CENA NUMERU 1 zł.

OD WYDAWNICTWA

Od 1 stycznia 1929 r. „Myśl Narodowa" będzie wydawana co tydzień. Kwartalnie dochodzić będzie do czytelników 13 zeszytów, zamiast 6. Każdy zeszyt będzie złożony ze stron 16, co uczyni kwartalnie stron 208, podczas gdy obecny dwutygonik daje kwartalnie stron 120.

Opłata oczywiście musi być podniesiona, koszta bowiem wydawnictwa zdwajają się, jeżeli uwzględnimy nie tylko objętość, ale także zwiększone koszta redakcji, administracji i pocztowe. Cenę jednak podnosimy tylko do **9 zł. kwartalnie** (z dostawą). Dla tych, którzy opłacą pismo zgóry za pół roku, prenumerata wynosić będzie **17 zł.** prenumeratorzy roczni zapłacą tylko **32 zł.**

Zagranicą (z powodu wysokiej opłaty pocztowej) cena prenumeraty wyniesie kwartalnie 12 zł., półrocznie 24 zł., rocznie 45 zł.

Cena zeszytu oddzielnego wynosić będzie 80 gr.

*

Otwierając już teraz prenumeratę na rok 1929, upraszamy o wczesne zamawianie pisma i nadsyłanie jednocześnie należności za kwartał IV rb. na dawnych warunkach, oraz zaległości.

Wpłaty najdogodniej uskuteczniać czekami na PKO konto 3.150.

Upraszamy przyjaciół pisma o nadsyłanie adresów znajomych, którzy mogliby i chcieli „Myśl Narodową" zaprenumerować. Na każde żądanie nadeślemy zeszyty okazowe i czeki.

*

Kwartał ostatni tego roku poświęcimy pracy nad rozszerzaniem koła czytelników, którzy—nie wątpimy — skutecznie dopomogą w tem wydawnictwu. Przyjaciele pisma, po tem wszystkiem co w kraju zaszło, rozumieją już jasno, że trzeba przerwać apatję sfer oświeconych, zrażających się do szerszego współżycia umysłowego i współdziałania wskutek zamętu myśli politycznej i etycznej. Przesilenie tego stanu już jest bliskie. Życie bowiem wszystko pokonywa, należy tylko coraz rozumniej je regulować myślą przewodnią. Jest to zadaniem sfer oświeconych, dla których właśnie wydawana jest „Myśl Narodowa" jako myśl przewodnia.

Sfery oświecone, odpowiadające za losy Polski, nie dojdą do należytej postawy, jeżeli pozwolą sobie wmawiać, że stanowisko narodowe należy do partyjnych.

„Myśl Narodową" wszyscy czytać powinni.

*

Zamiana na tygodnik pozwoli nam rozszerzyć wiele działów i ożywić je przez związanie z zagadnieniami chwili bieżącej. „Myśl Narodowa" jest ogniskiem dla szerokiego koła pisarzy paru pokoleń ze wszystkich części kraju. W ciągu paru ostatnich lat korzystaliśmy ze współpracownictwa 130 osób, a w tej liczbie trzecia część należy do najmłodszego pokolenia. Widzieć w tem trzeba dowód żywotności pisma.

Żywotna bowiem jest idea narodowa, której służymy. Dała ona niepodległość Polsce i wyprowadzi ją na równą drogę dziejów, gdy umysły wytrącone z równowagi przewrotami wojny, uwolniwszy się od fałszywych doradców, przyjdą do uznania, że idea narodowa najzbawienniejszym jest przewodnikiem.

Przyszłość do niej należy.

ZDEMASKOWANI

WIELKIEJ wagi fakt zaszedł w naszem życiu wskutek ujawnienia się masonerji. Skończyły się czasy mistyfikacji; wiemy już teraz, gdzie właściwa linja frontu walki, która tem namiętniej zakłóca spokój w społeczeństwie, im słodziej brzmią wołania o pokój powszechny. Bardzo złą pozycję mają publicyści, zabierający się teraz do obrony masonerji i wykazywania, że wszystko, co Polsce zdarzyło się w dziejach dobrego, zawdzięcza ona masonerji. Przeprowadzenia tej tezy podjęła się żydowska „Epoka", pozostająca w bliskich stosunkach z rządem, powierzając tę obronę oczywiście Polakowi.

Korzenie masonerji tkwią w odwiecznych tajnych organizacjach żydostwa, opartych na talmudze i kabale. Między zagadnieniami organizacyjnemi tych związków istnieje jedna konsekwentnie przeprowadzona, mianowicie zasada podziału członków, na mądrych, chytrych, mocnych i dobrych (słabych). Loże formowane z chrześcjan są organizacjami pomocniczemi do wykonywania tajnych planów żydostwa. Są one tak mocno wzięte w kluby organizacyjne przez mądrych, chytrych i mocnych, że mogą składać się z owego materjału ludzi „dobrych" (słabych), dających się zasuggerować powierzonemi im funkcjami i działających nieraz w dobrej wierze. Idą stadem pokornem, nie ośmielając się wejrzeć w górę, w tajemnice organizacji, szantażowani, ogłupiani, podjudzani i wszędzie strzeżeni, jak stado, przez naganiaczy żydów. Przyjrzyjmy się orgamizacjom polskim.

P. Giełżyński, chełpiący się naiwnie zasługami masonerji, należy do tej czwartej kategorji działaczy. Wie on o masonerji znacznie mniej, niż każdy z boku stojący, który nie miał zakazu badania jej tajemnic. Wiedza o masonerji i o jej dziejach stoi dzisiaj dobrze. Najtrudniejszy był kłopot z dowodem, gdzie ona jest teraz, ze schwytaniem jej *in flagranti*. Szeroki ogół, nie wtajemniczony zupełnie w te sprawy, słuchał o masonach jak o żelaznym wilku, jak o czemś nieprawdopodobnem. Całe zadanie masonów było ośmieszać tych, którzy „bajkę" opowiadali — i to była główna siła obronna masonerji. Teraz nareszcie można areopagowi opinji pokazać żywych masonów. Ludzie bali się ośmieszenia, więc milkli bezradni i teroryzowani; teraz trochę trudniej będzie z tą opinją, gdy jej daleko już do śmiechu, gdy wilk okazał się żywy.

„Gazeta Warszawska", wysłuchawszy bajek p. Giełżyńskiego, który wszystko, co żywotność Polski stworzyła, przypisuje masonerji, zapytuje go o rzeczy ważniejsze:

— A jak to było z rozbiorami Polski? Jak to było z powstaniem? Jak to było w czasie wielkiej wojny? A w r. 1926?

„Tezie p. A. G. przeciwstawiamy naszą tezę: działaniu masonerji zawdzięcza Polska to, że prowadziła błędną politykę w drugiej połowie wieku XVIII i w ciągu wieku XIX. Polityka zagraniczna Ignacego Potockiego w czasie Sejmu Czteroletniego, inspirowana przez masonerję, doprowadziła do podziałów Polski.

Dodajemy do tego, że rola masonerji przed i w czasie powstania listopadowego, oraz w czasie powstania styczniowego była zgubna dla interesów Polski, podobnie jak zgubną była polityka masonerji polskiej, stawiająca Polskę po stronie państw centralnych w okresie wielkiej wojny i jest dzisiaj, gdy popiera ugodę z Niemcami, jedynie możliwą do urzeczywistnienia przez nowy rozbiór Polski.

Twierdzimy też, że ostatnie dwa wieki dziejów naszych posiadają historję opracowaną tendencyjnie, że jest rzeczą niezbędną poddanie rewizji ustalonych dziś na tę epokę poglądów.

Wreszcie stwierdzić wypada, że koniec wieku XVIII i początek XIX były okresem największego rozkwitu ideologji masońskiej, która znalazła najwyższy swój wyraz w Wielkiej Rewolucji francuskiej. Najwybitniejsze umysły były pociągnięte przez tę ideologję. Nie przesądza to wcale jednak o tem, że ta ideologja jest prawdziwa i że dziś należy jej hołdować. W wieku XX patrzymy na bankructwo myśli, której ojcami byli Wolter i Russo. Nic też dziwnego, że zbliża się ku końcowi okres wszechwładzy masonerji. Na przełomie wieków XVIII i XIX mogła ona jeszcze mieć pretensję do reprezentowania panującej myśli, obecnie jest ona już tylko instytucją, broniącą przebrzmiałych haseł i martwych formuł.

Nietylko tedy uzależnia masonerja naszą politykę od interesów obcych, a często wrogich, lecz w dodatku jest narzędziem wstecznictwa umysłowego, zaporą w pochodzie myśli i życia polskiego po drodze zgodnej z nowemi prądami i rozwojem Europy zachodniej".

Koniec legendy, koniec oszustwa. Młode, świeżo powołane do kierownictwa społeczeństwem warstwy oświecone 18 i 19 wieku dały się uwikłać w sieci intrygi i użyć do paraliżowania rozwoju Polski. Historycy, użyci do fałszowania dziejów, gmatwali sprawę przymierza polsko-pruskiego, zalewano nam oczy blaskiem romantyzmu, abyśmy dróg przebytych nie widzieli; teraz publicyści nam prawią o patrjotyzmie powstań. Przyszedł jednak czas widzenia prawdy. Nie darmo przebyliśmy szkołę realnej myśli politycznej, która wbrew machinacjom masonerji potrafiła wyprowadzić Polskę na drogę niepodległości. Przed wzrokiem tej myśli narodowej prawda nie dała się ukryć. Nie pomoże rzucanie w oczy takich argumentów jak patrjotyzm działaczy XIX wieku. Wiemy, że Polacy są i byli patrjotami, ale zarzut im robimy, że należeli do owej

czwartej kategorji — dobrodusznych. Nie to było złe, że powstania popierali, lecz że nie wiedzieli, kto i w czyim interesie je robi; nie wiedzieli, że robią je ci, którzy zgóry mieli uplanowany żałosny ich koniec. O marnowanie sił Polski chodziło. Nie trzeba tego zgadywać, skoro się widziało naocznie tę samą robotę w latach 1905-6 i w czasie wojny.

Żydzi, kierujący polityką masońską w Polsce, buntują się przeciw idei, że na ziemiach, gdzie oni rozbili swój obóz, ma trwać mocne państwo polskie. Idea małej Polski walczy z ideą wielkiej Polski, ale nie Polacy z sobą walczą. Polacy są użyci tylko do tej walki. Ta prawda nie dała się dłużej ukryć z dwu powodów: 1) zuchwalstwa żydów, którym się śpieszy i którzy poczuli się już panami sytuacji i 2) z powodu patrjotyzmu Polaków. Zaniedbani niechlujnie w myśleniu politycznem, nauczyli się już czegoś w realnej robocie dla państwa niepodległego. Zaczynają coś rozumieć, nie wytrzymują wzroku prawdy. Ciężkie jest ich położenie moralne.

Ze świadomością, że się jest narzędziem złej sprawy, iść można prostą drogą do śmierci moralnej. A jak się wyrwać z sieci? Oto teraz dzięki katolickiej agencji prasowej dowiadujemy się, że pismo „*L'Alsacien*“ ogłosiło tekst przysięgi, na którą masonerja chwyta swoje organizacje. Formułę tę uchwalono w r. 1894; każdy wtajemniczony musi ją sam napisać i podpisać, sprzedając w ten sposób swoją duszę. A brzmi ona:

„Jakiekolwiek byłoby moje stanowisko, zajmowane przezemnie w życiu politycznem, czy też zwykłem, codziennem, przyrzekam na honor mój pójść za każdem wezwaniem, które dojdzie do mnie od wolnomularstwa, i bronić wszelkiemi rozporządzalnemi środkami wszystkich haseł, jakie wysuwa ono w kwestjach politycznych i społecznych“.

Walka, prowadzona z własnym narodem przez masonów, musiała przybrać charakter zapamiętania, i potem już można było poznać, że kierują nią żydzi. Doszło do tego, że Polacy z obozu masońskiego traktują przedstawicieli idei narodowej polskiej z większą nienawiścią, niż kiedykolwiek traktowali rosjan, a teraz bolszewików. Widzieliśmy nawet żądzę krwi bratniej i bogaty jej plon w walnej bitwie 1926 r. A jednak — pomimo wszystko mamy współczucie dla tych rodaków uczciwych, którzy z dobrą wiarą w tych szeregach się znaleźli.

I radzimy im, aby rozwiązali ten stosunek z chwilą, gdy kardynalny warunek tajemniczości przestał istnieć. To ich zwalnia z przysięgi. Można było bowiem od biedy zasłaniać się pretekstami haseł społecznych, humanitarnych i filozoficznych (cnota, aktywność, sanacja, postęp itp.), gdy nie wiadomo było, co jest podstawą organizacji, która łączy najrozmaitsze sprzeczności w obozie. Obecnie jest ten widok nie do zniesienia dla opinji publicznej. Bo Polak, mający do wyboru dwie idee, polską i żydowską, składa swoim gustom niedobre świadectwo, namyślając się, a cóż dopiero wybierając tę drugą ideę. Żydzi znowu narodem wybranym?

Z. W.

SPORT, JEGO ŚWIATŁA I CIENIE

WIELKI sezon sportowy, który przeżywamy, triumfy naszych jeźdźców, czy szermierzy, Konopackiej czy wioślarzy, rzeczywisty rozwój naszego sportu wykazany na Olimpjadzie Amsterdamskiej w zestawieniu z poprzednią, paryską — budzą dumę w sercach polskich, zadowolenie opinji, entuzjazm sportowców. Równocześnie jednak te rozgłośne echa igrzysk amsterdamskich, opisy nietylko spotkań, ale wspaniałych urządzeń, niezliczonego zjazdu widzów z obu półkul, olbrzymiego zainteresowania opinji całego świata dla tej sportowej wojny narodów, która rozgrywała się na ziemi holenderskiej, budzą refleksje ogólne o tem, czem jest w istocie swój sport, jak obszerne miejsce zajmuje w życiu współczesnem, co oznacza ta duża jego rola i wreszcie jakie złe strony czy tendencje posiada ta pogodna moda dzisiejszego życia.

Sport, jak każda rzecz złożona, ma swoje właściwości mniej i bardziej istotne, wreszcie wcale nieistotne, pierwszo-drugo-i trzeciorzędne. To zastrzeżenie ogólne będzie potrzebne, jako wstęp do definicji sportu, a także jako uwaga do rozważań o jego roli w życiu kulturalnem.

Sport jest przedewszystkiem i w istocie swej rodzajem ćwiczenia fizycznego, jedną z form kultury ciała, formą dzisiaj i najgłośniejszą i najbardziej powszechnego znaczenia. Celem sportu jest zdrowie, tężyzna, siła, wytrzymałość, zdolność do możliwie największych wysiłków fizycznych, umiejętność dysponowania swojemi siłami i znajomość ich rozmiarów i właściwości. Taki jest poważny cel sportu, ten sprawia, że interesują się jego rozwojem rządy, że zajmuje w życiu społecznem poczesne miejsce, że popierają go światłe koła społeczeństw.

Sport w okresie cywilizacji, kiedy życie połowy ludności państwa biegnie w fatalnych dla zdrowia warunkach miasta, biura i fabryki, kiedy podział pracy i maszyny odsunęły wielką część społeczeństwa od zajęć samych przez się zdrowych i wzmacniających fizycznie, sport, jako źródło zdrowia i propaganda kultury ciała, nabiera dużej, nieocenionej wartości. Dobrze pojęta, rozumna kultura ciała, zamiłowanie w pielęgnowaniu jego właściwego rozwoju wywiera też z pewnością wpływ dodatni na duchową stronę życia.

Sport jest także rozrywką, grą. Jest oparty na zasadzie rywalizacji, współzawodnictwa. Rozwój jednostki jest w nim mierzony porównaniem z innemi, współzawodnictwo jest motorem jego rozwoju i to w sensie podwójnym: naprzód dlatego, że pobudza ambicje jednostek i grup w ich pracy nad swoim rozwojem fizycznym, a potem dlatego, że współzawodnictwo właśnie robi ze sportu grę, rozrywkę, wreszcie dodaje mu drugą kategorję uczestników biernych, mianowicie widzów; ci widzowie są też, w następstwie propagandowego znaczenia publicznych zawodów, w pewnej swojej części przyszłymi sportowcami.

Temu właśnie swemu charakterowi gry, zajmującej rozrywki, rywalizacji, na której jest oparty, wreszcie bardzo różnorodnym i dobrze pomyślanym rodzajom, zawdzięcza sport ogromne rozpowszechnienie i powodzenie w swojej zasadniczej roli ćwiczenia fizycznego i kultury ciała.

Znane są złe i dobre strony współzawodnictwa— posiada je i współzawodnictwo sportowe. Wiadomo też, jak wytwarzają się przy każdej grze elementy hazardu i to zarówno w uczestnikach, jak w silniejszej może mierze we widzach.

Dobrą stroną systemu zawodów, tych wszystkich turniejów, *match*'ów, biegów i konkursów, niezależnie od tego, że są motorem sportowej kultury ciała, jest zawarty w nich element walki. Walka wymaga skupienia całej uwagi, wydobycia i uruchomienia dla tej potrzeby wszystkich posiadanych sił, wreszcie wytrwałości i entuzjazmu w jej prowadzeniu, opanowania napiętych nerwów.

Umiejętność przeprowadzania zwycięskiej walki, krzewiona przez sport, będąc jego stroną już nie czysto fizyczną, jest walorem nie do pogardzenia, skoro przeciwności są chlebem codziennym życia ludzkiego, wielkie boje dniem epokowych rozstrzygnieć życia narodów.

Złą stroną współzawodnictwa są niewątpliwie istniejące skłonności do przesady w traktowaniu tej strony sportu, do przejmowania się zbyt na serjo sprawą wyniku walki, do usuwania przez współzawodnictwo — środek drugorzędn i pomocniczy—w cień poważnego sensu, zawartego w sporcie, a mianowicie kultury fizycznej.

Nie chodzi tu o to, że zawodnik w okresie poprzedzającym boje sportowe, uważa oczekiwany wynik za najważniejszą dla siebie kwestję, że ten lub ów mistrz na większą skalę poświęca sportowi kawał swego życia. W pierwszym wypadku jest to przemijający i naturalny nastrój, atmosfera potrzebna do wydobycia z siebie wysiłku, atmosfera otaczająca zresztą zawsze jakąś bardziej atrakcyjną imprezę rozrywkową. W drugim jest to zjawisko sporadyczne, bo mistrzów niema wielu, z drugiej strony są to zwykle ludzie, których kwalifikacje są zupełnie dobrze wyzyskane, jeśli w roli szampionów sportowych są czynnikiem rozwoju kultury ciała w swoim kraju.

Chodzi natomist o nastawienie ogólnej opinji, o prasę, o szeroką publiczność. Te czynnniki stanowczo zamiast wpływać korzystnie na pojmowanie sportu przez samych sportowców, przedstawiają skrajne skrzydło niewłaściwego poglądu. Widzenie w sporcie tylko gry i współzawodnictwa, żądza niezdrowych emocyj, hazardu i sensacyjnego widowiska, posiadanie faworytów, których otacza się histeryczną atmosferą podniecenia i zaślepiającej ambicji zwycięstwa — oto promienie działające na sportowców od strony trybuny, ulicy, dziennika... ach! dziennika! Trudno o bardziej opłakany i śmieszniejszy obraz, jak skłębione podnieceniem, biedne i ubogie myśli recenzenta sportowego, który wraca z *match*'u np. Warszawianki z Polonją. Jest on oczywiście zwolennikiem jednej z drużyn i zaszczytną swoją misję informatora widzi jako „zjechanie co się zmieści" drużyny niesympatycznej. Z najniebezpieczniejszych dla tego celu warstw rekrutują się recenzenci sportowi: są to zawiedzeni osobiście sportowcy albo poeci, łączy ich wspólny brak znajomości i zrozumienia tego o czem piszą, oraz żar niezdrowej miłości do owocu zakazanego.

Element wychowawczy walki, zawarty we współzawodnictwie sportowem, ćwiczenie w dążeniu do zwycięstwa i zamiłowanie [w niem — o dodatniej stronie tych walorów pisałem wyżej — mają interesującą stronę odwrotną.

Bodaj, że tutaj właśnie, z tej podniecającej atmosfery walki o pierwszeństwo, z tej zabawy w pojedynek czy wojnę na śmierć i życie, z tej, doskonale pomyślanej i związanej z poważną sprawą ćwiczenia fizycznego i jego propagandy, zabawy w żandarma i zbója dla dorosłych, urodziła się myśl o „samodzielnej idei sportowej", o „sporcie czystym", „samym w sobie" — słowem o jakichś niezależnych jego, własnych walorach i bezpośrednio doniosłych celach*).

Ducha bojowego, rozpęd posuwania się naprzód, temperament i umiejętności bojowe, jakie w pewnej mierze sport krzewi, można rzeczywiście traktować z dwu punktów widzenia: radować się, że rozwijają instynkty ambicji i zdolności do walki, stanowiąc ich ćwiczenie, albo też cieszyć się, że są terenem ekspansji dla tych instynktów, terenem pochłaniającym je w sposób łagodny, bezkrwawy i — bezpłodny. W tym drugim wypadku należy pomagać złudzeniu i fantazji, wzmagać wpływ atmosfery właściwej grom, które każą wierzyć w swoją inscenizację na serjo.

Czyżby to pacyfizm w swojej trosce o paraliżowanie nadmiernej energji ludów wyolbrzymiał znaczenie sportu i tworzył samodzielną jego „ideę"? — Kierunek narodowy, przekonany o możności twórczego zużycia energji narodów, nie ma potrzeby szukać dla niej sztucznych upustów, ale przeciwnie musi być przejęty duchem oszczędzania jej dla wielkich celów dalszego rozwoju cywilizacji. Grobowy jest pesymizm wiejący z dachu pacyfistycznego.

Bezdroża tej formy rzeczy tak doniosłego znaczenia, jak kultura fizyczna narodu, w dzisiejszych niezdrowych warunkach jego życia, bezdroża sportu zarysowują się jasno obserwatorowi roli, jaką w życiu narodów odgrywa:

1) w jego obrębie, nadmierny rozwój czynnika rywalizacji i współzawodnictwa, gry i widowiska z krzywdą kultury fizycznej; więc wysunięcie się na czoło pierwiastka drugorzędnego i pomocniczego, z krzywdą rzeczy zasadniczej i istotnej;

2) a w całości życia skłonność do przekroczenia tych ram, które sportowi znaczenie zdrowia, siły fizycznej i sprawności w życiu człowieka nakłada i do ogrywania roli wyższej i bardziej samodzielnej, niż pożytecznego środka kultury ciała oraz godziwej rozrywki.

Rzeczą światłej opinji jest przestrzegać porządku i hierarchji w stosunkach pomiędzy rzeczami i jej rzeczą jest trzymać sport we właściwej roli i przywoływać do porządku gdyby brykał.

Samemi muskułami narody nie wyżyją i cywilizacja ich kwitnąć nie będzie, ale zachwianie się właściwego stosunku pomiędzy rzeczami „*mentis sanae*" i „*corporis sani*" na rzecz tego ostatniego, mniej ma swoją przyczynę w rozroście spraw kultury ciała, a raczej jest jej wyrazem i skutkiem.

Lwów ZDZISŁAW STAHL

---

*) Por. uwagi na ten temat w art. J. Rembielińskiego pt. „Światek maleńkich ideałów" w nr. 16 „Myśli Narodowej" z r. 1927.

OD IDEI DO CZŁOWIEKA

W DUSZNEJ atmosferze stałego naprężenia wytworzyła się w świadomości szerokich kół troska o „*summum bonum*“, bez którego bytowanie człowieka na dalszą metę staje się niemożliwe — o cywilizację. Stopień tego zatroskania jest bardzo różny. U nas niewątpliwie jest on znaczny. Inaczej i być nie może. Społeczeństwo, które do niedawna o dobre stulecie pozostawało w tyle poza Europą, którego dorobek cywilizacyjny był tylekroć traktowany bez pardonu, społeczeństwo dość ospałe i łatwo się wyczerpujące, z największem zaniepokojeniem śledzić musi podziemne echa mas, wyczuwać ich parcie na wszelką strukturę społeczną.

Sprawę te publistyka nasza, tak jak i obca, poruszała wielokrotnie. Ujmowano rzecz jednak pod kątem socjologji, tymczasem i strona psychologiczna jest tu bardzo istotna. Psychologja wiedzie nas od osobnika do osobnika i daje klucz do zrozumienia nawet takich objawów, jakie socjologja zbywa ogólnikowemi formułami. Ze szczególną wyrazistością da się to stwierdzić w zagadnieniu bezpośrednio ze sprawą istnienia cywilizacji związanem, w zagadnieniu: jak człowiek zaszczepia drugiemu człowiekowi ideę? Dla socjologa jest to fakt ogólnikowy „dyfuzji“, „zarazy umysłowej“ „naśladownictwa“. Psychologja szuka dróg jakiemi idee stają się własnością jednostek.

I

Cóż to jest właściwie idea? Pominąwszy terminologję platońską i inne definicje historyczne, możemy nazwać ideą każdy kompleks sądów, każde przekonanie, zasadę, formułę o znaczeniu ogólnem. Postać, formę stylistyczną przybierać może idea bardzo rozmaitą. Znamy idee — wyniki długich rozumowań, idee o argumentacji ścisłej i zwartej, idee w skrócie domyślników, idee mglisto — rozwełnione, znamy idee — ognie i idee — sfinksy, znamy idee o krótkiem, efemerycznem istnieniu i idee żywe przez tysiąclecia, idee uzdrawiające i idee zabójcze... Niekiedy przybierały one kształt osobowy — wtedy z idej wyrastał ideał, koncepcja tak charakterystyczna dla pewnych epok jak np. dla naszej — koncepcja normalności.

Wartość idej zmieniała się w zależności od ludzi i epok, nawet idee naukowe ulegały prawu względności.

Dziś oczywiście mamy dzisiejsze kryterjum ich wartości — wartość cywilizacyjną, pomińmy jednak problemat ustalania wartości idei. Patrzmy na nie jak na „barwny dym“, używając słów Nietrschego. Skąd się brały, jaki ich rodowód? Tak jak pewne motywy, tematy, sytuacje literacko-artystyczne, krąży wiele z nich od lat setek a może i tysięcy. Geneza innych jest późniejsza, niekiedy imienna. Znamy rodziców — czasem to przypadek, czasem genjusz. Nurtują one (często indywidualnie) życie—religijne, umysłowe, obyczajowość, dzieła sztuki — aż się trafi ktoś, co je wykryje tam i nada im formę właściwą.

Ze stanowiska psychologicznego można ogół idej uklasyfikować, dzieląc je na idee dialektyczne, imperatywne i kontemplacyjne. Przykładem pierwszego typu są idee naukowe, drugiego — moralne, trzeciego— estetyczne. Dużo idej posiada charakter dwoisty: idee polityczne np. należą i do dialektycznych i do imperatywnych, idee religijne — do imperatywnych i kontemplacyjnych, idee metafizyczne — do dialektycznych i kontemplacyjnych.

Rozróżnianie takie nasuwa się samo przez się. Wszak znajdujemy w aktach psychicznych przewagę intelektu, wyobraźni lub woli. Co do uczuć jako takich — to oczywiście czysto uczuciowe idee nie mogą istnieć. Dreszcz wzruszenia, przemoc nastroju, wybuch namiętności, nie posiadając własnego sformułowania, które nadałoby im cechę ogólności, muszą być stanami czysto podmiotowemi, dopóki się im jakiegoś sądu nie podściele. Wtedy to w „logice uczuć“ rodzą się idee — należące do typów wymienionych.

Psychologja spółczesna zna dobrze ten fakt. Pierwiastki uczuciowe są uznanym czynnikiem aktywności duchowej, umysł, doskonale obojętny na wszystko, zdolny będzie do recepcji pewnych idej, ale nie do ich asymilacji. Nawet idee naukowe, czysto teoretyczne, muszą implikować jakiś wstrząs emocjonalny, niespodzianość, rewolucyjność, mocny kolor. Anemja bywa chorobą nietylko człowieka lecz i idei. Bez podłoża wzruszeniowego idea wygląda istotnie tylko jak „barwny dym“.

Gdybyśmy zechcieli idee organicznie uzmysłowić, moglibyśmy je porównać z nasionami — to zresztą robiono często — albo wogóle z roślinami: korzenie byłyby w tym wypadku pierwiastkiem uczuciowym — one też decydowałyby o stopniu wrośnięcia idei w glebę psychiczną a w wyniku — i socjalną. Dla życia idei jak i rośliny potrzebna jest gleba. Jak ją uprawić?

Odpowiedź na to pytanie wymaga uprzedniej analizy sposobów udzielania się idej.

II

Już pedagogika zna dobrze dwie drogi, jakiemi nauczyciele i wychowawcy trafiają do duszy młodzieży. Pierwsza — to przekonywanie w ścisłem znaczeniu wyrazu, druga — to suggestja w najszerszem znaczeniu. Istnieje wprawdzie i trzecia droga — przymusu, ale w ten sposób można zaszczepić raczej pewne reakcje, sposoby zachowania się, niż idee. Psychologa nie interesuje ona bliżej.

Metody przekonywania i suggestji stosują się nietylko w szkole. Są to powszechne sposoby urabiania psychiki, choć w zależności od czasu i ludzi wymagają pewnych modyfikacyj.

Chcąc drogą typowego rozumowania przekonać kogoś o czemś, należy starać się wytworzyć w nim identyczny lub podobny proces myślowy. Przekonywający i przekonywany muszą się zestroić w tym wypadku pod względem przesłanek możliwie *unisono.*

Obowiązują tu reguły logiki formalnej, w swej klasycznej formie datujące się od Arystotelesa. Konieczność akceptowania wniosku prawidłowo wysnutego jest nie do zwalczenia i równa się konieczności fizycznej. To też teoretycznie metoda przekonywania jest nieomylna. Teoretycznie! Praktyka mówi co innego. Każdy z nas wie z doświadczenia, że nie każdemu może trafić najlepszemi nawet argumentami do przekonania. Logika polityków, chłopów i wielu t.zw. pań z towarzystwa dostarcza uderzających przykładów: „tak, zapewne — ale...“ słyszy się w odpowiedzi. To też nie bez słuszności ironizują niektórzy na ten temat, utrzymując, że przekonać można tylko tych, którzy chcą być przekonani. Faktycznie, najłatwiej przeko-

nać o czemś „zasadniczo“ sympatycznem lub obojętnem. Najtrudniej narzucić coś wbrew dyspozycjom psychicznym i ustalonym poglądom. Bowiem logika formalna jest wszechwładna w gabinecie uczonego, na widowni społecznej panuje logika socjalna (której prawa tak zręcznie sformułował ongi G. Tarde), albo i wręcz nielogiczność pod maską musu. O to jednak chodzi, żeby umieć przekonać i do idej trudnych, obcych, nawet niemiłych. Barbarzyńcy wiele idej cywilizacyjnych właśnie takiemi się wydal

W średniowieczu umiejętność dialektyczna była silnie kultywowana. Cała scholastyka żyła dysputami; powstała nawet pewna sztuka: prowadzenia sporów— ośmieszana zresztą przez satyryków (jak np. Rabelais) jako przeważnie do niczego nie prowadząca.

Mimo wszelkie trudności zrezygnować z metody przekonywania nie wolno i nie warto zresztą. Trzeba tylko umieć dobierać przesłanki. Aby przekonać do idei spółpracy chłopa, polityka czy panią z towarzystwa trzeba dobierać takich przesłanek za każdym razem, których wartość przekonawcza będzie największa. To powiększy znakomicie szanse przekonania. Szczególnie wielkiej wartości przekonawczej nabrały w ostatnich kilkudziesięciu latach dla wielu osób argumenty cyfrowe, dostarczane przez różne statystyki. Są całe społeczeństwa (Am. Północna), gdzie cyfra rozstrzyga nawet o wartości wyznania religijnego, nie mówiąc o wartościach literackich lub politycznych. W społeczeństwach o większej tradycji historycznej cyfra nie jest niezwalczonym argumentem, o ile inne czynniki ostro mu się przeciwstawią (moralne, estetyczne). Pozatem — metodę cyfr musi respektować każde cywilizowane społeczeństwo.

Niezależnie od czynników podmiotowych już omówionych, trzeba zwrócić uwagę na dwie wartości społeczno-psychologiczne, posiadające ogromny wpływ na powodzenie wszelkiej rzeczowej argumentacji. Są niemi: dyscyplina umysłowa i ład życia. Pierwsza polega na sile doznań intelektualnych, na łatwości traktowania pojęć i sądów jako realnych, przedmiotowych zjawisk, jako wykładników twardej rzeczywistości, na szacunku dla słowa, na sprawności rozumowania, gdy się jasno postawiło sprawę.

Dyscyplina umysłowa nie jest wyłącznym skutkiem pewnego wykształcenia. Zależy ona w znacznym stopniu i od typu samego umysłu, co znowuż nierzadko wiąże się z zawodem, powołaniem, nawet narodowością. Anglo-Sasi np. posiadają w wybitnym stopniu dyscyplinę umysłową. Dzięki temu tak jasno stawiają wszystkie kwestje, tak logicznie precyzują swe dążności.

Powiedział ktoś, że historja konstytucji angielskiej jest wyrazem oporu w stosunku do podatkowej samowoli króla i walką o prawo samostanowienia o tem. Z formułą podatkową logicznie wiążą się inne formuły jego egzystencji i o tę logikę walczy Anglik, tak jak Polak walczył za wolność — własną i cudzą— nie wiedząc dobrze, jaki będzie związek tej wolności z życiem.

Dyscyplina umysłowa Greków antycznych stworzyła epokę w cywilizacji — filozofję; umysłowość rzymska wykuła logikę prawa i nauczyła kodyfikacji ustaw.

Drugą wartością, sprzyjającą rozumowanym ideom, jest ład życia. Poniekąd jest to konsekwencja dyscypliny umysłowej, jej stosowanie w układzie pracy i rozplanowaniu trybu życia osobistego. Każdy fakt konkretny, każdy pomysł zrealizowany, każdy zespół składający się z dobranych jednostek, każde urządzenie materjalne, będące wyrazem celowego i dogodnego zaspokojenia potrzeb — wyższych i niższych — przygotowują grunt pod idee rozumowane. Dlatego dbałość o ład, o właściwą strukturę duchową i materjalną jest znamieniem dojrzałości kultury.

Na takiej to glebie zakorzeniają się z łatwością idee rozumowane i wydają szacowne owoce. Niedawno u nas jeszcze była moda lekceważenia rozumowego stosunku do idei. Zgodnie z tradycją romantyczną sądziło się idee sercem, a i samo serce robiło się Absolutem — gwoli najwyższej prawdzie.

Sporu tego, który u nas w uproszczenej postaci nazywa się sporem rozumu z sercem, rozstrzygać nie możemy. Zauważmy jednak, że co innego zimna dialektyka, a co innego zapał umysłu dla prawdy, że idea musi posiadać wykładnik, osnowę refleksyjną, że cywilizacji z impulsów nie zbuduje nikt.

Idea rozumowana, idea przemyślana, mimo braków kolorytu i wibracji wzruszeniowej, posiada nieoceniony sekret — trwałości. Idea suggerowana może ulecieć z wystygłej świadomości, może ulec przemocy innej suggestji, idea rozumowana pozostaje formułą pewnej aktywności, wzorcem przebywanej drogi, siłą, którą w organizmach starzy przyrodnicy zwali niegdyś: *nisus formativus*. Dla nas nabywanie i kapitalizacja życiowa idej rozumowanych — naukowych, etycznych, społecznych, politycznych — jest realnym programem dnia. Nieszczęściem, a może błędem romantyzmu naszego było podawanie poezji za program pracy — stąd powstały nasze wizje aniołów chodzących po Polsce, i rzeczywistość zażydzonych ruder, nasza absencja na tylu, tylu polach zwycięstw i dumy twórczej!...

III

Inna jest metoda suggestji. Nie do refleksji, nie do władzy sądzenia, lecz przedewszystkiem do sfery wzruszeń się zwraca. Nie usiłuje długiemi „a więc“ „dlatego“, „oczywiście stąd wynika“, lecz targnięciem nerwów, wzburzeniem podświadomości i objawieniem w całości, opanować psychikę. Chce ją uwieść.

Metoda suggestji, podobnie jak metoda przekonywania, zależy od wielu czynników. Przedewszystkiem — od indywidualności tego, kto suggeruje. Bywa to często wprost decydujące. Urok wodza, kapłana, nauczyciela, mistrza może wszystko narzucić tym, co są z nim i ufają mu. Życiorysy proroków, sekciarzy, rewolucjonistów dostarczają niezliczonych przykładów.

Największe powodzenie uzyskuje ta metoda (czasem trudno mówić o metodzie, raczej o natchnieniu) oczywiście tam, gdzie gleba indywidualna jest podatna. Bywa jednak, że pewne idee niemal walkę muszą stoczyć z jednostką i jej duchowym światem, aż opanują psychikę niepodzielnie. Tak bywało z ideą rezygnacji w buddyzmie, tak było z ideami w średniowieczu. Świadczy to o złożoności życia duchowego i o potędze suggestji w tej, jak zresztą i w innych dziedzinach.

Jeżeli umiejętność rozumowego oddziaływania bywa sztuka, to suggerowanie idej jest nią w całem znaazeniu—stale. Przepisów na suggestję niema ogólnych i niezawodnych. Wprawdzie praktyczni Amerykanie układają książki o „tajemicach powodzenia“, są to jednak luźne recepty. A jednakże suggestja jest nieodzownym czynnikiem duchowego oddziaływania. Sam intelekt choćby wszechmocny, nie nada ideom tej wibracji życia, tego połysku i zdolności wsiąkania w krew i nerwy, co suggestja. Zrestą nie każda idea nadaje się do rozumowego ściśle ujęcia. Co inego — ów wspomniany wątek myślowy w idei, co innego jednak jej stosunek do władz poznawczych. Idee np

o życiu pozagrobowem nie mogą być ściśle dedukowane. Szczepimy je drogą suggestji przedewszystkiem. Potem uzupełniamy refleksją filozoficzną.

Zdolność ulegania suggestjom jest czynnikiem dodatnim i pożądanym — dla jednostki i społeczeństwa. Jak pogodzić to ze znanym poglądem, zwalczającym wrażliwość na suggestję w imię hygieny duchowej? Powiadają nam, że osobnik ulegający suggestji raz może przejąć się dobrą ideą a innym razem szkodliwą. Brak mu będzie kryterjum oceny — urok jednostki i skłonności osobiste rozstrzygną o wartości idej. Iluż to herezjarchów i rewolucjonistów pociągało za sobą zaślepione tłumy!

Otóż trzeba odróżniać suggestję od suggestji. Są historyczne jej formy, są formy, tkwiące w kulturze uczuć, w zdolności duszy do przeżywania ideowych wzruszeń, do zapłonięcia wskutek poczucia słuszności. Pewna osobistość dlatego właśnie posiada sekret władzy nad umysłami, że zgóry budzi w nich „ton" emocyj wyższego rzędu, apeluje do kulturalnych tradycyj, zagrzewa do walki o nie.

Pospolite hasła czyli psedo-idee (gołosłowne „wyzwolenie", „wolność", „równość") zażegające całe warstwy społeczne, nie troszczą się o żadne idealne aspiracje, jakkolwiek dla oka biją w dzwon szczytności. Zresztą instynkty robią swoje i rzadko idea kieruje tłumem naprawdę.

Otóż kultura uczuć, wytworzenie trwałych dyspozycyj uczuciowych, zdolnych do wyboru określonych tematów z doświadczenia (a więc wyrabianie w jednostce np. uczuć religijnych, estetycznych, etycznych o pewnem indywidualnem zabarwieniu, upodobaniach idących w tym lub innym kierunku), — kultura uczuć jest gwarancją zdrowej suggestji.

IV

Czem kierować się przy wyborze obu metod w zakresie trzech wymienionych typów idej (dialektyczny, imperatywny, kontemplacyjny)? Oczywiście i analizą strony psychologicznej idei i warunkami czasu i miejsca. Idee najwyższego rzędu bywają bardzo złożone: obie metody znajdą tu zastosowanie. Naogół — dobrze, jeśli pewna suggestja usposobi umysł do przyjęcia pewnej idei, potem nastąpi praca intelektu.

O ile pragniemy mieć dobre rezultaty, winniśmy największą uwagę zwrócić na świeżość formy, w jaką przybierzemy naszą ideę, oraz na psychologiczne podłoże.

Dla kiełkowania idej cywilizacyjnych niezbędne jest wytworzenie pewnych nawyczek i sposobów reagowania.

Jeśli chodzi o gromadę, grupę, zespół — to zagadnienie wchodzi na płaszczyznę społeczną. Zachodzi potrzeba istnienia pewnych instytucyj, a nawet urządzeń. (Różne świetlice, czytelnie, boiska, sale teatralne i odczytowe, życie towarzyskie, ruch kulturalno-oświatowy). Pewna ogłada upodobań, niechęć do jaskrawych efektów, grubych sensacyj i podniety wyłącznie instynktów staną się bardzo szybko czynnikiem urabiającym świadomość jednostki i zbiorowości.

Tylko jeden warunek jest tu nieodzowny: wywoływanie przeżyć w osobnikach. Ci, którzy na nic kulturalnego nie reagują — są straceni — przynajmniej tymczasowo. Trzeba czujnem okiem psychologa śledzić skutek całej akcji. Akcja ta najłacniej się powiedzie, gdy ją zacznie się od uszlachetniania zabawy, czynności z *minimum* przymusu i zachęty do schludności. W grze cichnie dzikość a schludność ciała i własnego kąta uczy odrazy i do brudu moralnego.

Do kulturalnej rozrywki, do hygieny życia konieczne są pewne urządzenia. Stanowią one materjalne czynniki, bez których idee dla nas nie staną się „ideo-siłami", chyba wśród bardzo nielicznych. Wyjątek stanowią idee religijne — by niemi zapalić, trzeba ducha apostolskiego... Lada człowiek dobrej woli nie doczeka tego.

Jeśli mowa o kulturalnym upadku warstw oświeconych, o duchowym ich nieładzie, tak dolegliwym po wojnie, to metody szczepienia idej pozostają te same, ale materjalne czynniki muszą być zgoła inne. Rzeczy te wymagają całkiem nowych ujęć. Humanizacja człowieka i zwrot do natury*) musiałyby dyktować odpowiednie programy. We wszystkich jednak wypadkach, dla uniknięcia fatalnych rozbieżności, należy sobie uprzytomnić, że wydzielanie pewnych idej kulturalno-oświatowych i przeciwstawianie ich pod mianem postępowych innym, zwanym reakcją lub wstecznictwem, jeśli miało kiedykolwiek rację, dziś jest u nas nonsensem. Nie „postęp *contra* reakcja" lecz „cywilizacja *contra* barbarzyństwo" musi być hasłem wszystkich ideologów dobrej woli, bo prawdziwym wrogiem ich jest barbarzyństwo.

LESZEK KONOPACKI

*) Nie mogę tu nie zwrócić uwagi czytelnika na wrażenie, jakie robi dziś rzadkie zetknięcie z rodzimą czystą cywilizacją, jak np. podane przez Z. Wasilewskiego w impresji z Istebnej na Śląsku („U Źródeł" „Gazeta Warsz." Nr. Nr. 218, 219 220 r. b.).

KILIMY A TĘSKNOTY UNIWERSALISTYCZNE

W ŻYCIU literackiem Polski dzisiejszej obserwujemy pewien prąd, występujący pod nazwami uniwersalizmu, urbanizmu, kultury proletarjackiej i pod innemi jeszcze, których wyliczanie nie jest potrzebne, nie chodzi bowiem o termin, lecz o postawę zasadniczą. Reprezentant uniwersalizmu na Polskę, p. J. N. Miller, usiłował zdefinjować podstawy ideologiczne tego prądu w swej książce*) i licznych artykułach. Rezultatem tych usiłowań było nagromadzenie zdań bombastycznych, niejasnych i między sobą sprzecznych.

Mimo jednak teoretycznej chwiejności prądu, o którym mowa, odbija on dość jasno pewne rysy polskiej umysłowości współczesnej, aby dać pole do wysnucia niektórych wniosków.

Pod względem psychologicznym mamy tu do czynienia z tęsknotą za emocjami, związanemi z wytężonem życiem cywilizacji miejskiej. Dołączają się do tego inne motywy uczuciowe i intelektualne, jak humanitarny (kwestja robotnicza) ekonomiczny (kapitał i praca), prawny (zagadnienie ustroju państwowego) — jednak odgrywają one rolę drugorzędną; jedynie emocjonalne tło wytężonej pracy miasta zbliża do siebie pisarzy zresztą sobie dalekich, wytwarza między nimi związki sympatji i nadaje ruchowi wyraźną fizjognomię. Jeżeli w ostatnich czasach wytworzył się i utrzymał mocny prąd pisarski, którego osią psychologiczną jest uczucie tęsknoty za emocjami „urbanistycznemi", to przy-

*) J. N. Miller. Zaraza w Grenadzie.

czyny tego szukać należy w jakiemś głębszem podłożu psychologicznem i historycznem.

Przeciwnicy tego ruchu polemizowali, nieraz w formie bardzo ostrej, z jego zwolennikami, wytykając im nieposzanowanie naszych świętości narodowych. Było w tem dużo słuszności, wiele zarzutów godziło trafnie. Niemniej, i to trzeba podkreślić — z całej polemiki sprawa samego zjawiska, które stało się jej powodem, wyszła nietknięta.

A w tej właśnie, jak mniemam, dla krytyki literackiej sprawie najistotniejszej, zamierzam skreślić poniższe uwagi.

Mam wrażenie, że u podstaw tego ruchu leży, słabo może uświadomione, poczucie pewnej zaległości cywilizacyjnej. Urbanizm na polskim gruncie dziwnie jest niespokojny, wyraża się bądź w geście człowieka, który nareszcie dorwał się do źródła prawdziwych rozkoszy, bądź nauczyciela-doktrynera, który z pasją tupiąc nogą, kładzie „łopatą w łeb" swoim wychowankom zasady zdobytej „wiedzy radosnej". Urbanizm nasz jest parwenjuszowski, programowy, neurasteniczny — nie wyczuwa się w nim samorzutności i szczerości twórczej, raczej złość i upór. Pokaźny zbiorek impertynencyj p. J. N. Millera, przeplatanych belferskiemi „kawałkami", objęty tytułem „Zaraza w Grenadzie" jest tych obu cech wyrazem dobitnym.

Tendencje dydaktyczne, pogarda dla „przeczulenia", „nastrojowości", lirycznych i egotycznych stanów duszy charakteryzowały pozytywizm—dziś powracają te same zarzuty pod adresem tych samych cech, tylko w formie ordynarniejszej. Pomimo puszenia się „współczesnością", nasze uniwersalizmy i urbanizmy kryją pod szminką frazesów zmarszczoną zwiędłą buzię warszawskiego postępowca z okresu „Prawdy".

Bo też ten właśnie okres pozostawił ogromną zaległość cywilizacyjną. Chcąc ją odrobić, wraca się mimo woli do miejsca, na którem utknął pozytywizm polski końca ubiegłego wieku.

Zaległość ta wyraża się w fakcie, żeśmy nie mieli polskiego Balzaca. Nie było pisarza, któryby naprawdę przerobił w literaturze cywilizacyjne problematy współczesnej Europy. Rzućmy okiem na sytuację.

Z jednej strony historja — przeszłość narodu, ujęta realistycznie (Sienkiewicz), bądź symbolicznie i wizjonersko (Wyspiański). Ta literatura była najpopularniejsza, najgłębiej czczona, najlepiej bowiem wyrażała nasze tęsknoty, pragnienia, a zarazem utrzymywała energję wytrwania.

Pozycję odmienną zajmowała twórczość Prusa. Tutaj mamy już coś, co poniekąd graniczy z balzakizmem. Wprawdzie uczuciowość autora, gdyby nawet w innych, niż w rzeczywistości tworzył warunkach dziejowych—wyłączała to czysto kliniczne ujęcie życia, charakteryzujące pisarza — socjologa typu Balzaca. Liryzm Prusa domagał się zaspokojeń zbyt natychmiastowych, aby pisarz mógł zdobyć się na tę majestatyczną obojętność i wyniośle-badawczą postawę wobec życia, która skłoniła Balzaca do dedykowania jednej ze swych powieści Geoffroy St. Hilaire (zresztą i to jest postać liryzmu, innego tylko rodzaju, liryzmu o dłuższym oddechu i tęższych mięśniach). Ale bądź co bądź „Lalka" czy „Emancypantki" są dużemi etapami w poznaniu mechanizmu gry sił społecznych. Nie tylko jednak gatunek uczuciowości Prusa uniemożliwił znakomitemu pisarzowi zapuścić sondę do głębi życia współczesnej ludzkości. Trzeba było robić politykę, pisać powieść tendencyjną, maskować Egiptem Rosję — słowem spełniać piórem służbę społeczną. Przy takim programie mowy niema o utrzymaniu napięcia badawczego—żądzę poznania wyparło pragnienie obrony duszy polskiej przed czyhającą na nią zagładą. Rzecz inna, czy takie podporządkowanie twórczości artystycznej nakazom chwili przyniosło w rachunku ostatecznym korzyść czy stratę kulturze narodowej. Dość, że tak było.

Przyszła „moderna". Z Europy, na gorąco, *via* Przybyszewski. Tam była ona walką duszy osamotnionej, wyniosłej, nadludzkiej — przeciw duszy stadnej, pospolitej, ludzkiej. Z tego stanowiska zajmowanie się grą sił społecznych, badanie mechanizmu cywilizacyjnego — było „płytkie", szukano duszy „nagiej".

Na gruncie literatury zachodnio europejskiej był to ruch konieczny, psychologicznie wytłumaczony — była to reakcja na przesyt pozytywistyczny. Ale w Polsce? Nie było na co reagować w ten sposób. Byliśmy nie przesyceni, lecz wiecznie głodni rzetelnej, dobrej, autentycznej literatury.

Innemi też drogami kroczyła nasza „moderna" niż europejska. Sam jej importer, Przybyszewski, rychło uderzył w nutę sentymentu narodowego, stał się, choć to zabawnie brzmi, pisarzem regjonalistycznym. „Moderna" ówczesna w bilansie ostatecznym to wniosła do literatury naszej nowego, że oczyściła ją od motywów utylitarnych. Ale za panowania „Młodej Polski", jak za panowania Sienkiewicza — jedynym problematem pozostała Polska. Tylko nauczono się myśleć o niej nie pod kątem widzenia „programu" i „nakazów chwili", lecz jako o istocie żywej, która „mieszka między nami", rzucono się w odmęt wielkich inicjacyj mistycznych.

I na tym nowym terenie zarysowało się rozdwojenie. Polska, ujęta wizjonersko, historycznie, metafizycznie — i Polska — prymityw ludowy. Pierwszą drogą kroczył Wyspiański, poniekąd Przybyszewski i Miciński — drugą najcelniej reprezentował Tetmajer. Mniejsze talenty zgromadziły się dookoła tych dwóch centrów. Wyjątkową pozycję zajął Kasprowicz. Wielkością jeden Wyspiański mógł mu być przyrównany, ale jakąś prostą dowodnością swego genjuszu wyrastał Kasprowicz ponad nich wszystkich. Jednak i on również — o tem trzeba pamiętać — wszedł do literatury furtką, rzeźbioną w stylu zakopiańskim.

A powieść?

Reymont? — wielkość, króra wyrasta wprost z ziemi, jak trawa.

Żeromski? Moc obietnic, ale żadna nie spełniona. To, co zamierzone, programowe, analityczne gubi się w szkolarskiej dialektyce i uczuciowo nastrojonym frazesie; to, co wyrzucone z nadmiaru bólu — krystalizuje się w gigantyczne spiętrzenie uczucia, wyrastają z tego fragmenty żywiołowej, wspaniałej liryki.

Weyssenhoff? Pozycja odmienna. Wysoka kultura obserwacji, świadomy, europejski stosunek do pracy pisarskiej, ani śladu literackiego życia nad stan, które zrujnowało dzieło Żeromskiego. Moment w Polsce wyjątkowy: „Podfilipski" — skromnie pokazany, prawdziwy, że aż dziwno się robi, klasyczny, zbyt oczyszczony z liryzmu, aby wzbudzić w ówczesnem społeczeństwie silniejsze echa. Ale „Podfilipski" jest preparatem cywilizacyjnym, który powstał ze specjalnego pokrzyżowania sił, powodującego rozkład — jest to znakomite studjum anatomji na trupie. Cywilizacja w „Podfilipskim" nie żyje — on przeżuwa jej ochłapy.

Twórczość Berenta, nacechowana w początkach („Fachowiec") tendencjami realistycznemi, już w „Próchnie" ulega popędowi lirycznemu, szukającemu tragedji „młodych ras" na bruku europejskim. Müller powiada Jelsky'emu: „Jelsky, Jelsky, coś ty zaprzepaścił" Nie chodzi tu, rzecz prosta, o dramat wynarodowienia się Polaka — trudno, aby miał się tem przejąć Niemiec—Müller. Chodzi o podkreślenie niższości i „płytkości" cywilizacji wobec „głębi" prymitywu psychicznego. Im dalej, tem w twórczości Berenta problematy stylizacyjne gruntowniej wypierają nastawienie badawcze.

Wielki i niedoceniony talent Orzeszkowej tonie w regjonalizmie. Zapolska rozdwaja się między szczery, choć bombastyczny patrjotyzm a warszawsko-lwowską filozofijkę kultury, zalatującą Europką — całość rozbija się na (znakomite często) fragmenciki. Jakkolwiek daleko posunęliśmy się wdół po szczeblach hierarchji talentów, natrafimy zawsze na jeden z dwu typów regjonalizmu: ludowego lub inteligenckiego, zawsze chodzić będzie o obronę lokalnego uczuciowego stanu posiadania, nastawienie rzetelnie badawcze, poza Reymontem i Weyssenhoffem, występuje wyjątkowo. Ale nawet ci pisarze nie sięgnęli do głębi zagadnień cywilizacyjnych. Co do Reymonta, mocnego jedynie na gruncie niższych uwarstwień cywilizacyjnych — jest to oczywiste. Weyssenhoff znowu zatrzymał się na osadach cywilizacji, w dziwacznych deseniach rozsnutych po obszarze życia polskiego.

Europa dała Balzaca, Zolę, Flauberta — Rosja Dostojewskiego. Problemat konstrukcji życia współczesnego podjęty został tam po męsku, ręką twardą i umiejętną, szukano oparcia dla indywidualności w opanowaniu mocą rozumu i talentu stugłowej piewry cywilizacji współczesnej, reagowano w myśl wyczucia nieomylnego, że aby nie dać się cywilizacji pochłonąć, trzeba ją zrozumieć, że ratunek dla indywidualności tkwi w przeniknięciu praw, którym ulegać musi.

A w Polsce tkano kilimy. — Czy jest to zarzut? Oczywiście nie. Zarzutem w krytyce literackiej może być jedynie wykazanie rozbieżności między zamierzeniem a wykonaniem. Sam fakt takiego czy innego nastawienia twórczego jest tylko faktem. Ale fakt ten pociąga za sobą pewne konsekwencje — i to jest ważne.

Konsekwencją zasadniczą, która nas tu obchodzi, będzie ta—że głód poznania, który opanował Europę, wyrażając się we wzroście dociekliwości nad prawami, rządzącemi społeczeństwem, że ten głód, który i polską myśl trawił, został u nas zaspokojony tylko połowicznie: tani choć zacny dydaktyzm, przewaga uniesień lirycznych nad stanowiskiem badawczem — skrzywiły u nas te talenty, które z natury swej miały dane, by stanąć na poziomie twórczości europejskiej. Z drugiej strony ogromny wzrost kilimu literackiego wraz z nieznośną manjerą kilimkarską, która do dziś dnia Polskę nęka — sprzyjały znakomicie rozbudzeniu najbardziej nieprzyjaznych uczuć w stosunku do literatury, noszącej piętno narodowe. Ludziom, którzy chcieli badać—kazano marzyć. Trudno o skuteczniejsze zdyskredytowanie marzenia.

Oczywiście, dyskusja nad tak zwaną „wyższością" jakiegoś gatunku literackiego nad innym jest bezprzedmiotowa. Nie miałoby też sensu pytanie, czy wyższa jest literatura socjologiczna, czy „kilim". Każdy z tych rodzajów ma odrębne prawa i znaczenie. Można przenieść się myślą w okres, kiedy porastały ziemię lasy skrzypowe i na ten temat pisać rzeczy wspaniałe. Ale niesposób się dziwić, że człowiek żyjący w okresie drzew liściastych, bardziej jest ciekaw praw, rządzących życiem tych drzew, niż legend o skrzypach.

W położeniu tego człowieka znalazła się, przekarmiona kilimowym liryzmem, część naszej współczesnej młodzież literackiej.

Jak każdy organizm źle odżywiany, zareagowała ona przyśpieszonem chłonięciem tego, co życie niesie. Stąd pośpiech, nerwowość i doktrynerskie nastawanie tej grupy. Bije w oczy jej charakter *ultra-modern*, kojarzący się zagadkowo ze staroświeckim dydaktyzmem. Poucza się jak dawniej, tylko przytem się wymyśla. Wymyślanie robi „nowoczesność" i poniekąd „głębię". — Czuje się gwałtowną potrzebę zgruntowania zagadnień cywilizacji współczesnej — i używa się do tego tych narzędzi, które się odziedziczyło, wypracowanych przez mocno okrojony w Polsce pozytwizm z przed lat kilkudziesięciu. Stąd manjery dydaktyczne, stąd nieumiejętność wyjścia poza alternatywę „sztuka dla sztuki" albo „sztuka dla społeczeństwa", stąd po zacnych przodkach odziedziczony symplicyzm psychologiczny, który probuje się nadłatać pyrotechniką frazesu.

Zrozumiałe jest też to, co tak niepokoi pisarzy, dbałych o narodowe oblicze naszej literatury: rola, którą Żydzi odgrywają we współczesnym ruchu literackim w Polsce.

Jeśli są oni najszczerzej *„moderne"*, to nie z racji osławionego „sprytu", „ruchliwości" i „inicjatywy" (wartoby przetrząsnąć nasze utarte formuły, które stosuje się do Żydów, gmatwając i banalizując zarazem zagadnienie, jedno z najzawilszych w naszem życiu, kwestję żydowską w jej wymiarze politycznym i kulturalnym). Przyczyna jest inna: Żydzi, jako związani luźno tylko z kulturą polską, odbyli inną niż my drogę rozwoju, nie byli współtwórcami stanu posiadania cywilizacyjnego, stanowiącego kapitał żelazny rozpoczynającej samoistne życie Polski—lecz mniej lub bardziej lojalnymi świadkami, być może, w poszczególnych wypadkach entuzjastycznymi i zewnętrznie czynnymi, procesu, który odbył się w obcej świadomości narodowej. Nie obarczeni dziedzictwem, nałogami, a nadewszystko głodem, które pozytywizm nam w spadku zostawił jako przypomnienie swych zaniedbań, szlachetnych być może, ale domagających się wyrównania, Żydzi lepiej, szczerzej wżyli się w problematykę współczesnej cywilizacji europejskiej, jakkolwiek wielu jej stron i zagadnień nie potrafią opanować. Nie byli od niej nigdy tak gruntownie odseparowani jak my, stąd też lepiej odpowiedzieli zainteresowaniom i najzupełniej zrozumiałemu popędowi naszej inteligencji ku wyrównaniu starych zaległości i zaniedbań.

Arcywspółcześni Polacy deklamują wciąż o tem, co „winno być". Zdania takie jak „trzeba raz z tem skończyć", „dość już tego", „kiedyż nareszcie" — wszystkie te fronty, platformy, hasła stanowiące istotę demagogji literackiej, która z krytyką literacką nic nie ma wspólnego, odsłaniają znakomicie prostaczy brak zrozumienia prawdziwego życia literatury, życia twórczości.

I ludzie ci myślą, że te proklamacyjki pozostają w jakimkolwiek stosunku do niezmiernie głębokiego procesu przeobrażeń cywilizacyjnych i myślowych ludzkości. A przecież frazeologja ich nie ma nic wspólnego z erupcjami temperamentu pisarskiego w rodzaju „manifestów" futurystycznych (wtedy miałyby przynajmniej rzetelne walory agitacyjne, i artystyczne) nie — jest to renesans najlichszych tradycyj pozytywizmu polskiego, „okraszony" powojenną brutalnością.

JAN EMIL SKIWSKI

BŁOGOSŁAWIEŃSTWO

HYMN

O ziemio polska, kolebko nasza,
szumiąca zbożem wkrąg naszych gniazd —
kwieciem strojąca białe poddasza
w uśmiechach słońca, w migotach gwiazd —
ty, coś karmiła ojców i dziadów
chlebem i mlekiem, jak karmisz nas,
ziemio niw złotych, rumianych sadów,
błogosławiona i pełna łask —
na twoją chwałę, na twoją cześć
wznosimy słoneczną tę pieśń:

O ziemio polska! miłością naszych serc,
trudem i znojem posianym w twoje łono
wokół gniazd naszych, niezłomnych bożych twierdz
kwieć się i pleń i bądź błogosławiona!

KWITNACE JABŁONIE

Kwitnie sad.— Biało i cicho. — W ślubnym, śnieżystym welonie,
rumieńcem szczęścia spłonione
oblubienice, dziewice
klęczą przed Bogiem: kwitnące w słońcu jabłonie —

Całuję ze wzruszeniem ich kwiaty przeczyste:
pachnące wiosną usta zmartwychpowstałej ziemi —
Otulają mnię ciszą welonów śnieżystych:
klękam wśród nich przed Bogiem jako oblubieniec —

W WIEJSKIM KOŚCIÓŁKU

Nad rozmodloną rzeszą w kościółku drewnianym
snuł się uśmiech Chrystusa jak nitka pajęcza —
Szumiały pszczelne roje: cichutkie organy:
złote szumy-poszumy w witrażowych tęczach —

Woskowych świec płomyki i szkarłat ornatu
gorzały jak żar czerwca, co stał w drzwiach szerokich —
Ołtarz w śnieżnej zamieci kalinowych kwiatów
niósł majestat Chrystusa na białych obłokach —

Szemrał żaren obrotem szept zgrzebnych pacierzy
wokół brzęku miedziaków o blaszaną tacę —
Uśmiech kwitnących kalin na sercach się śnieżył
miłosierdziem rozgrzeszeń, litością przebaczeń —

Chrystus wpół uśmiechnięty ręką miłościwą
błogosławił z nad kwiatów radosnemu światu —
błogosławił w miłości wszelki ziemi żywioł
z nad kalin, tkwiących w łuskach szrapneli i granatów —

ŚWIATŁO

Nad grzędami kremowych i lila irysów
na skrzydłach promienistych słoneczna zwisa cisza —

Do białych kwiatów malin trzmiel nuci serenadę —
pszczół złote chóry śpiewają nad śnieżno-białym sadem —

Na łęgach dalekich falują zielone jeszcze zboża:
srebrnopłomienny, senny, aksamitny pożar —

Wszystko objęte światłem jako wymiarem czwartym,
nad przestrzenią i czasem, jak śmierć rozpostartem —

BŁOGOSŁAWIEŃSTWO WAM

Błogosławieństwo wam białe sady kwitnące:
ślubne welony ziemi przed ołtarzem słońca —

Pozdrowiona bądź ziemio, niebios pełna łaski —
błogosławionaś ty między matki i niewiasty —

I błogosławion owoc twojego żywota:
sad jabłek źrałych pełny i pszenica złota —

O święta matko nasza, żywicielko-ziemio!
módl się zbóż obfitością nad dziećmi swojemi —

Weź nasze prochy w łono swe na zmartwychwstanie
w godzinę śmierci naszej i w żywot wieczny. — Amen.

Z POD PALCÓW TWYCH

Z pod palców Twych, w zadumie na strunach prawieków
złożonych, jak na harfy drgających promieniach,
wstajemy jako melodja snów Boga-Człowieka,
jak zabłąkany w gwiazdach ból — nokturn Szopena —

Przez palce Twoje spadamy w proch ziemi i pył,
jak martwe liście jesienią przez konary drzew —
ale nam w ciszy śmierci tli bunt w lontach żył,
szkarłacąc się na Twych rękach jako żywa krew —

WAKACJE W KRYNICACH

Brałeś mnie z sobą w pola zacny gospodarzu:
pod lasem kwitł niebiesko-aksamitny łubin —
żniwiarki nad łanami toczyły wachlarze
w złotej pożodze słońca, jak skrzydła cherubie

Przesypywałeś w dłoniach źrałe, jędrne ziarna,
łuskane z kłosów, nisko schylonych nad miedzią,
to-ś znów za źdźbłem nierychłem łan ręką rozgarniał,
zrywając płone kłosy, że chore są, wiedząc —

Pamiętam dobrze wszystko: śmieć, sporysz, niezmiarkę,
które znaleźć tak trudno było tego roku,
choć tobie tajnię każde otwierało ziarnko
i oczy miałeś mądre i bystre jak sokół —

Pamiętam nazwy pszenic i jęczmion i owsów
i traw imiona: drżączki, turzyce, stokłosy —
uśmiech twój wszechwiedzący, co się sennie rozsnuł
na przebogate pola, na świat, na niebiosy —

I cóż ci miałem mówić? — że srebrzysta Izys
wyhodowała zboże nad błękitnym Nilem?
Pani miłości — Córa lotosowych wizyj,
o migdałowych oczach, ostrzejszych niż sztylet?

Zapuściłeś w głąb ziemi serce jak kotwicę —
wichr już nie zerwie z masztów bandery słonecznej!
Nauczyłeś się twardem, miłującem życiem,
że w najlichszem ziarenku mieszka Bóg i wieczność —

JÓZEF ALEKSANDER GAŁUSZKA

LIBERUM VETO

Hasło przewartościowywania. — Stara idea i nowy frazes. — Nieuprzątnięte pobojowisko, hyjeny i rabusie. — Brak hetmanów i dzielnych żołnierzy. — Zwłoka w odbudowie. — Różnica współczucia. — Powszechność choroby. — Hasła odrodzenia. — Nie wy, lecz my.

HASŁO naszego czasu „przewartościowania wartości" nie jest nową ideą, ale tylko nowym frazesem. Każda epoka dokonywa tego „przewartościowania". Bo czyż nie zrobił go chrystjanizm zastępujący pogaństwo, druk zastępujący pismo, broń palna zastępująca łuki, maszyna parowa zastępująca pracę ręczną? Przemiana więc zasad, pojęć, przekonań, form działania jest naturalnym i ciągle powtarzającym się objawem rozwoju życia i wiedzy. Tylko umysły bardzo płytkie i dziecinne, ciesząc się i szczycąc „nowem sitkiem na kołku" mogą wierzyć i głosić sławę Minerw, wyskakujących nagle z głów Jowiszów. Kto zajmował się wyśledzeniem rodowodu jakiejkolwiek idei, przekonywał się, że żadna nie ma ściśle określonego początku. Kiedyś pojawiła się jako ziarno, potem kiełkowała, potem wyrastała w roślinę, potem długo dojrzewała, wreszcie zakwitła i wydała owoc. Teorja Darwina sięga swemi pierwocinami do filozofji greckiej, samoloty do średniowiecza, normy prawne do starożytności i t. d. I te więc „przewartościowania", które reklamowane są jako wykwity naszego czasu, mają bardzo dawną genealogję.

Nie ulega jednak zaprzeczeniu, że tak olbrzymi, może największy w historji, wypadek, jakim była ostatnia wojna, sprowadził głębokie i rozległe zmiany w pojęciach, zasadach i dążeniach. Ale właściwe jej wyniki, posiadające twórczy i trwały wpływ na dalszy rozwój kultury świata, dotąd jeszcze nie ujawniły swojej istoty i mocy. Pomimo zakończenia bojów, zawarcia traktatów i doprowadzenia życia społeczeństwa do nowych warunków, dotychczas znajdujemy się jeszcze na nieuprzątniętem pobojowisku. Ciągle jeszcze zbieramy i grzebiemy poległych, usuwamy ruiny spustoszenia, naprawiamy zburzone budowle, odpędzamy stada hyjen, żerujące na trupach i bandy rabusiów, ograbiających pole walki. „Przewartościowanie" odbywa się dopiero w zmienionych pragnieniach, dążeniach, zamiarach, nadziejach, ale w życiu, o ile świat wypowiedział posłuszeństwo starym bogom, wpadł pod władzę szarlatanów. Podczas niewoli Pandora wyrzuciła na nas ze swej puszki wiele nieszczęść, a między niemi znalazł się zanik wielkich ludzi i wielkich idej. Jeżeli przez sto kilkadziesiąt lat rząd rosyjski zgładził lub ubezwładnił setki tysięcy najdzielniejszych jednostek, jeżeli według spisów urzędowych tylko od roku 1863 — 1866 wysłano z Królestwa na Syberję 18.000 osób, jeżeli niepoliczone tysiące ich rozproszyły się po całej kuli ziemskiej, skąd mieli się brać genjalni mistrze i przewodnicy narodu? Jeżeli zaś nieszczęścia ojczyzny pochłonęły prawie wszystkie uczucia polityczne i społeczne, skąd poza ideą wydobycia się z niewoli mogły czerpać swą siłę i moc? To też gdy szczęśliwy bieg zdarzeń przywrócił Polsce niepodległość, zbrakło jej nie tylko wielkich twórców nowego życia, ale nawet tych dzielnych pracowników, których każde państwo potrzebuje w licznej masie i bez których ono nie może istnieć w bezpieczeństwie i mocy. Z trzech zaborów dwa: rosyjski i pruski były najbardziej wyjałowione z uzdolnień politycznych i administracyjnych, stosunkowo najwięcej wprawy w tej dziedzinie posiadała Galicja. Stamtąd też wlały się w pustkę największe fale żywiołu urzędniczego. Na nieszczęście był to często żywioł zrutynowany, bezdusznie biurokratyczny, który wniósł do organizacji państwa ciężkie ruchy bezmyślnego mechanizmu, dotąd przejmujące paraliżem wszystkie organy państwa.

Gdy niema wodzów, lub gdy są obezwładnieni, obejmują komendę kaprale albo nawet prości żołnierze, którzy zwykle demoralizują się sami nagle zdobytą władzą. Widzimy to u nas w ogromnej mierze. Mamy uzasadnioną nadzieję, że ten stan się zmieni, że powoli wejdą do steru państwa kierownicy odpowiedni i że usuną z niego bezduszne automaty. Ale tymczasem one działają, a raczej tamują ruch życia. Masa jest zawsze potęgą, którą opanować może tylko wielka siła jednostkowa. Gdy takich sił brak, masy zyskują przewagę. Bezsprzecznie w naszej administracji na wyższych i niższych stanowiskach znajdują się jednostki dużej wartości umysłowej i moralnej. Ale jest ich za mało, dlatego rządzą jeszcze i działają gromady osobników nieudolnych i lichych. One to dokonały przewartościowania naszych pojęć w kierunku ujemnym.

Widzimy to szczególnie w polityce, socjologji i etyce. Tu dokonano rzeczywiście „przewrotu". Codziennie przesuwają się przed nami fakty, urągające podstawowym zasadom, które dotąd uważaliśmy i które we wszystkich społeczeństwach kulturalnych uważane są za nienaruszalne. Bo czy w ciągu ostatnich stuleci gdziekolwiek na całym obszarze cywilizacji zdarzyło się, ażeby lekceważono wymiar sprawiedliwości, ażeby plugawe kulty były uprawnioną religją, ażeby gwałty, morderstwa, kradzieże i wszelkie występki nazywano „radosną twórczością życia", ażeby zbrukanych ludzi prano z dnia na dzień jak brudne ścierki, ażeby wmawiano w ogół, że centymetr jest kilometrem, ślepiec ostrowidzem, kot lwem, wilk najlepszym pasterzem owiec? Ludzie, którzy nie złożyli do muzeum lub nie wyrzucili na śmietniki dawnej, przez tysiące lat i przez wszystkie społeczeństwa kulturalne wytworzonej ideologji, którzy nie przebierają swych umysłów jak ciała według ostatniej mody, pytają ciągle zdumieni: kiedy się skończy ta orgja bezczelności, to łotrowskie „przewartościowywanie"? Kiedy— nie wiemy, ale wiemy, że ono skończyć się musi, jeżeli mamy dalej istnieć jako nowocześnie zorganizowane społeczeństwo i państwo, a nie jako bezwładna horda. Wojna podeptała wszystkie przedmioty czci, unieważniła wszystkie prawa, nic też dziwnego, że na całym obszarze przejścia tej strasznej burzy objawiły się te jej skutki, wszędzie widzimy ruinę dawnej budowy życia. Ale nigdzie ta ruina nie jest tak wielką, a zwlaszcza nie jest tak uznaną za stan normalny, jak u nas, i nigdzie tak nie opóźnia się usuwanie gruzów i odbudowa społeczna. Nie tyle więc w samym fakcie rozpadu, ile w zwłoce naprawy tkwi źródło naszej niedoli i smutku. To dzikie „przewartościowywanie", ta przemiana rzeczy i ludzi złych na dobrych, małych na wielkich, to odwracanie piramidy pojęć i stosunków szczytem na dół występuje pod najrozmaitszemi postaciami. Ktoś zwrócił uwagę na różnicę współczesnej opinji dla ofiar podbiegunowej wyprawy włoskiej i ofiar tyranji sowieckiej. Rzeczywiście ta różnica jest bardzo wymowna. Gdy załoga rozbitej „Italji" spadła na krę lodową i walczyła ze śmiercią, gdy telegraf rozniósł wiadomość o cierpieniach Nobilego i jego towarzyszów, wszystkie narody zadrgały litością i chęcią pomocy, wszystkie narody wysłały statki ratunkowe, nawet sowiety pośpieszyły ze swym „łamaczem lodów". Tymczasem, gdy Rosja bolszewicka jest wielką rzeźnią ludzką, gdy zamordowała już setki tysięcy i codzień morduje gromady osób,

gdy dopuszcza się zwierzęcych okrucieństw, nie tylko żaden naród nie wzywa do wojny krzyżowej i nie objawia zgrozy, ale każdy stara się o nawiązanie „przyjaznych stosunków" z katami. Ten ohydny fakt, pomimo wszystkich usprawiedliwień politycznych, pomimo całej ich niecnej sofistyki okryje niestartą hańbą wszystkie państwa europejskie, a zarazem złagodzi winę jej sprawców. Bo dlaczego sowiety nie mają postępować tak, jak postępują, jeżeli cała Europa uznaje ich za godnych przyjaźni i ścisłych związków, jeżeli ona nie może zdobyć się na tyle współczucia i chęci ratowania miljonów nieszczęśliwych, na ile zdobyła się dla rozbitków wyprawy Nobilego?

Ten fakt i setki innych dowodzą, że cały świat wyższej, a jak się okazało po wojnie — bardzo powierzchownej kultury znajduje się obecnie w stanie rozkładu moralnego, zwanego „przewartościowywaniem". W tej jego powszechności mamy usprawiedliwienie naszego rozstroju wewnętrznego i pociechę, że nie ulegliśmy chorobie miejscowej i swoistej, ale ogólnej. To jednak nie uwalnia nas od potrzeby energicznego leczenia się, zwłaszcza, że chorujemy ciężej i groźniej, że z niewoli nie wynieśliśmy dostatecznego zasobu sił i środków odżywczych. Oczywiście ta apostrofa nie odnosi się do rządców społeczeństwa, którzy już ze swojej drogi nie zboczą, ale do niego samego. Hasłem naszych starań i dążeń nie powinno być: ratujcie nas, ale—ratujmy się.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

„MASONERJA ODSŁONIONA"

DOPIERO teraz, po powrocie z 6-tygodniowego zagranicą pobytu, doszedł mnie nr. 21 „Myśli Narodowej" z doskonałym artykułem p. t. „Masonerja odsłoniona". Słowa w nim zawarte wyrwane są istotnie z duszy nam wszystkim, którzy— nie od dziś — ale od wielu, wielu już lat, walczą nie o „sanację", ale o istotną „naprawę Rzeczypospolitej", a przedewszystkiem o wybawienie jej z tej *„pestis perniciosissima"*, jaką jest zaraza masońska, której bakcyle są tem niebezpieczniejsze, że najczęściej niewidoczne.

Należę do nielicznej grupki konserwatystów, co w trafnem — jak sądzę — zrozumieniu spuścizny po ludziach, jak Klaczko, Mann, czy Popiel — znalazłszy się, w przeciwieństwie do swego przyrodzonego środowiska (Kraków), pod sztandarem Ententy, nauczyli się tam odróżniać ziarno od plewy, czytaj: państwotwórcze pierwiastki, ugruntowane w ententofilskim kanonie naszej polityki zagranicznej, od tych paczących psychikę narodową „nowinek",

> gdy raptem paniczyki obce z cudzych krajów
> wtargnęli do nas hordą, gorszą od Nogajów,
> prześladując w ojczyźnie Boga, przodków wiarę,
> prawa i obyczaje, nawet suknie stare...

Jak dalece ta walka z „nowinkarzami", głoszącymi „nowe wiary, prawa, toalety" jest ciężka, trudna, niebezpieczna — niech zaświadczy chociażby gehenna takiego zmarłego rok temu — Konstantego Platera, który omal że nie został zadziobany przez własny obóz za to, że *sapere est ausus*, że miał zasługę życiową demaskowania usłużników konspiracji zagranicznej. W przeciwieństwie do znajomości Zachodu i jego arkanów politycznych rozsiadł się za to na rodzinnej naszej grzędzie domowej obskurantyzm, którego *porte-voix* stał się niedawno jeszcze statysta szlachecki, głoszący, że „szerzyciele... bzdur (propagandy antymasońskiej we wszystkich obozach) winni przedłożyć dokumenty i dowody"*)

Ten spóźniony, jak niestety zazwyczaj bywa, trabant kwietyzmu społecznego oglądać dziś może żywe dokumenty swej niewiary w osobach pp. Struga, Chodźki, Bartoszkiewicza, Stempowskiego, a zanim inne listy, inne rewelacje z tak autorytatywnej dla domatorów nawet zagranicy, rozszerzą mu pole patrzenia wzwyż i wszerz i tuż obok niego, pragnę jeno podkreślić — czerwonym niby atramentem — pewne złote prawdy, zawarte w wyżej cytowanym artykule „Myśli":

1) międzynarodowość: Kiedy byłem w Niemczech, chorał pansemickiej prasy, co z berlińskim *„Tageblattem"* i *„Frankfurterką"* na czele — na skinienie swych „oberkantorów" czy to zawodził nad Malmgreenem czy to wielbił mówców, miłych Izraelowi, chorał ten złorzeczył właśnie Ludendorffowi, który na zapytanie, co sądzi o jeździe Stresemanna do Paryża, odrzekł w wywiadzie, że, zdaniem jego, ten „brat niemiecki" jedzie nad Sekwanę, aby porozumieć się z „braćmi francuskimi". Spójrzmy w tem oświetleniu na ujawniony choćby skład naszej delegacji w Genewie, a słowa generała pruskiego nabiorą w oczach naszych przedziwnej plastyczności!

2) Stykając się w ostatnim czasie, w przejazdach, z różnymi Polakami, miałem sposobność stwierdzić, że słynne głosowania „jedynki" w Senacie na apolitycznych nawet umysłach wywarło duże wrażenie. I nic nie pomogło bałamutne tuszowanie rzekomym „bałaganem" jego znaczenia przez różnych Bogu ducha winnych „jedynkowiczów". Zacytuję prosty w swej wymowie epizod z wywczasów letnich. Wychodzimy z kościoła w uzdrowisku. Pytam jednego z współrodaków, czy nie spotkał się z drugim Polakiem — kuracjuszem. „Nie — brzmi odpowiedź — on napewno do kościoła nie chodzi, on głosował przecież w Senacie przeciw nauce religji". Tak, Bogu dzięki, pojęcja się wyjaśniają i atmosfera się przeczyszcza, w miarę jak opinja jednostek chce ustalić pewną konsekwencję czynów.

3) Ktoś wracający z ćwiczeń rezerwistów, nie może się nadziwić, że niektórzy jego koledzy klasyfikują bliźnich osobliwemi kategorjami: „To kanalja, ale jakżeż nam oddany"; i „To porządny człowiek, ale wróg". Nie wiem jednak, czy „realizuje" mój rozmówca że t. r. kryterja natury nieetycznej są bezpośrednim czy pośrednim przejawem masońskiej mafji.

4) Jeszcze uwaga natury osobistej: W lipcu 1926 r. a więc krótko po zamachu, jeden z najwybitniejszych dziś *leaderów* „jedynki" zwrócił się do mnie i innego jeszcze działacza konserwatywnego z propozycją zasilenia kadrów konspiracji belwederskiej. Odmówiliśmy obaj w tem przekonaniu, że konserwatyzm i wszelka konspiracja są antytezami i że, choć t. r. stanowisko w wielu momentach akcji politycznej stanowi dla nas obciążenie czy słabość, to jednak zasadniczo istnieć powinna w kraju formacja, choćby słaba, ale od wszelkiej konspiracji wolna, swobodna w ruchach i od innych — aktywniejszych— niezależna.

To też jest przyczyną, że, nie bacząc na zdumione (może tylko pozornie) okrzyki i zarzuty konserwatystów i monarchistów „jedynkowych", że współ-

*) por. „Pro Fide", III (dodatek, str. 4—5).

pracę z „endekami“, odpowiadam im, iż ja i ludzie ideowo mi bliscy współpracujemy z każdym, dopóki ten szczerze, trzeźwo i celowo tępi wymienioną na wstępie artykułu *„pestis perniciosissima“*, jej bakcyle i wybuchy, nie mogące być objawami żadnej „sanacji“, ale chyba objawami stopniowej zagłady narodu.

KAZIMIERZ MARJAN MORAWSKI

LEGENDA O BOKANOWSKIM

We Francji zdarzył się w tych czasach wypadek dość pospolity: samolot spadł, zabijając kilku ludzi. Sensację zrobiła ta okoliczność, że ofiarą katastrofy padli minister francuski Bokanowski i naczelnik lotnictwa, mając przy sobie najlepszych techników, a przytem że samolot był najprzedniejszy i spadł odrazu, zaledwie zdoławszy wzbić się na pewną wysokość.

Przyczyną katastrofy, jak twierdzą znawcy, były nerwy ludzi, siedzących w samolocie; innej niepodobna się doszukać. Musiało nastąpić nagłe zatrzymanie lotu, czego aparat nie wytrzymał i samolot spadł jak kamień. Dacydującemi nerwami w tym wypadku mogły być nerwy tylko ministra Bokanowskiego: on był gospodarzem statku. Opowiadają, że był to pierwszy jego lot, że bał się prób latania, ale wreszcie się przemógł i siadł. Można przypuszczać, że Bokanowski nie wytrzymał próby, że jego przerażenie (może rozkaz) spowodowało nagłą decyzję techników, która się okazała katastrofalną. Stracili dla ministra głowę.

Tajemnicę faktu zabrali uczestnicy do grobu. To jednak że wyjaśnienie katastrofy w tym może pójść kierunku, jest bardzo interesujące.

Legenda głosi, że Bokanowski był żydem. Tem się tłumaczy cały jej sens i morał. Nie wchodzimy w prawdziwość tego indywidualnego faktu. Dla czegóż jednak legenda powstała w związku z Bokanowskim? Właśnie dla jego żydowskiego pochodzenia.

W podstawie wychowania tej rasy leży zasada religijna nie narażania na ryzyko swego zdrowia i życia. To wystarcza, aby zrozumieć ich kalectwo duchowe. Żyd nietylko nie może być żołnierzem, ale nawet szoferem, tem mniej lotnikiem. Dzisiaj zrywając rygory talmudyczne ćwiczą się sportowo, aby to kalectwo naprawić. Czy to się uda — wątpić trzeba. Kalectwo jest głębsze, bo z niego wynikł odrębny ustrój duchowy, którego nie da się przerobić.

Ustrój duchowy żydów nie odpowiada tym wymaganiom, jakie stawia człowiekowi zachodnia cywilizacja. Współżycie z żydami możliwe się zdało dawnemi czasy na szczupłym odcinku stosunków handlowych. Żydzi z biegiem czasu w oparciu o swoje kapitały, a zwłaszcza o zasady demokratyczne prawodawstwa społecznego od przełomu Wielkiej Rewolucji, zajęli w społeczeństwach cywilizowanych Europy znacznie więcej miejsca. Mają teraz nawet wrażenie, że rządzą światem, rządzić chcą za nas, wyrywają nam z ręki kierownicę. A przecież są tylko pasażerami naszych statków historycznych.

Sterowanie nawą cywilizacji europejskiej wymaga bohaterstwa. Zbliska patrzący ludzie, którzy utknęli w materjalizmie, nie zdają sobie z tego sprawy, że żywoty narodów są tragiczne i że bohaterami tej tragedji są kierownicy nawy, dzisiaj całe sfery oświecone. W podstawie działania historycznego leży zaparcie się interesu osobistego i chwilowego na rzecz celów odległych, leży idealizm, wiara w wartość idei—pierwiastki bohaterskie. Historja narodów jest dramatem, w którym patos staje się niemal treścią. Tak ją pojmowała sztuka klasyczna. A my, cośmy wojnę przebyli, doświadczyliśmy naocznie, co to jest za patos, nie cofający się przed ofiarą krwi, jeśli chodzi o osiągnięcie celów narodowych. To jest najwyższa miara ludzkiego lotu w przyszłość przy wielkiem obciążeniu odpowiedzialnością moralną. Aparat wymaga wielkiej siły charakteru, wiedzy i sprawności kierownictwa, niewyczerpanego zasobu idealizmu, miłości i wiary. Jest to lot prometejski.

Na ten typ zakrojona jest cała cywilizacja w wielu odcinkach, weźmy: twórczość artystyczna, wychowanie pokoleń, rolnictwo oparte na miłości ziemi, technika wynalazcza, ścieląca pokotem ofiary. Wszędzie konieczny jest pierwiastek bohaterski, wytrzymałość nerwów, naciąganych odwagą i męstwem do nieosobistych wprost granic, przekraczających normę biologiczną.

Odbierzcie cywilizacji ten pierwiastek bohaterski a stanie wielkie dzieło ducha ludzkiego. Wystarczy: dajcie się zastąpić w swojej twórczości ludziom, nie mającym tego pierwiastku.

Żydzi, przy naszej dzisiaj zgodzie, wydzierają nam z rąk ster dziejów naszych, za które my jesteśmy odpowiedzialni. Czy mają na to kwalifikacje? Nie. Przy najlepszej nawet woli, gdyby ją mieli, brak im na to wyobraźni twórczej i odpowiednich „nerwów“.

Kto własne zdrowie i życie uważa za najwyższą wartość życia, ten musi ograniczyć pole widzenia duchowego, ten nie jest zdolny do dźwigania środowiska, ten nie może zaznać prometejskiego lotu. Nie ma odpowiednich nerwów, żeby takie funkcje wykonywać, a tem mniej zrozumienia ideału, który do takiego działania musi zagrzewać.

Trzeba postawić sprawę prosto. Oddajmy żydowi polskiemu największy ster w cywilizacji — polityczny i wmyślmy się w jego psychologję. Jaki bodziec możemy sobie wyobrazić w nim taki, któryby go porwał do działania na rzecz ideału narodowego wbrew interesom chwili, osób żyjących i jego osobistych? Trzeba przecież na to wzbić się bardzo wysoko, rzucić się przeciw wiatrom sprzecznym, walczyć, narażać spokój, dobrobyt, zdrowie, życie. W imię czego? Łatwo pojąć, czemby się stała polityka w tych rękach. Nastąpiłaby katastrofa.

To też nie do pomyślenia jest wogóle aparat polityki w tych rękach. Jest on nienawistny żydom i dla tego taki dzisiaj gwałt o likwidowanie polskich ambicyj historycznych. Dla umysłu tego typu niebohaterskiego niezrozumiały jest wogóle wysiłek, mający na celu obronę od zalewu germańskiego. Co komu szkodzi, że na tych ziemiach będzie panował Niemiec? Czy nie lepiej ustąpić natrętowi i spokojnie z nim handlować? Niema takiej siły, któraby ten umysł ustawiła na inny kąt widzenia sprawy. W najlepszym razie żyd przy sterze naszym może prowadzić swoją tradycyjną politykę. A jaka to będzie zawsze polityka? W r. 1917 żyd rosyjski Eliłow wydał broszurę „Żydowstwo i asymilacja“, a w niej w rozdz. ósmym p. t. „Na czem polega żydowska polityka narodowa“ — wyznał: „Nasz wielki mędrzec rabbi Akiwa, kiedy zwątpił o bohaterskich czynach znakomitego wodza Bar-Kochby, zmierzających do zrzucenia jarzma Rzymian i wskrzeszenia niepodległości Judei, dał narodowi mądrą radę w takiej przypowieści: „Pewnego razu, ocaliwszy się z rozbitego okrętu i płynąc po wzburzonem morzu, przed każdą nalatującą falą pochylałem głowę i wyszedłem bez szwanku“. Autor dodaje: „wskazówce tej

naród nasz pozostał zawsze wierny i stworzył naszą, pokojową politykę narodową, która okazała się zbawczą“!

Jakże z takim sportem iść na olimpjadę dziejów? Natura naszej cywilizacji pod zalew iść nie może, mamy do ocalenia coś więcej niż byt fizyczny. Dla tego przeraża nas dzisiaj, gdyśmy zdobyli już niepodległość, dającą możność rozwoju sił twórczych, gdy nam wmawiają, że trzymamy się ostatniej deski ratunku i że pochylać mamy głowę przed każdą falą. A takie hasło dzisiaj się rozlega wskutek dorwania się żydów pośrednio lub bezpośrednio do steru.

Zamach masonerji na politykę europejską jest niczem innem, jak narzuceniem jej zasady Akiwy w sprawie zachowania się wobec Niemiec, w których żydzi wierzą, że są falą niepokonaną. Polityka zalecana Polsce przez masonerję, jest typową polityką żydowską i tak musi być oceniany cały program „sanacyjny“.

Samolotowi dziejów polskich grozić będzie katastrofa taka, jak ta, która się zdarzyła w Toul, jeżeli przez zżydzenie duszy, stosować będziemy do kierowania swoim aparatem metody żydowskie.

Katastrofa w Toul w świetle legendy nabiera znaczenia symbolicznego.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Opinja a sprawy zagraniczne. — Pakt Kelloga. — Stosunki polsko-litewskie. — Sprawa opróżnienienia Nadrenji.

SPOŁECZEŃSTWO polskie mało interesuje się, a przytem nie wiele ma sposobności do zajęcia się poznaniem istotnego sensu wydarzeń, zachodzących w dziedzinie polityki międzynarodowej. W urzędowych oświadczeniach mężów stanu weszło w zwyczaj, zwłaszcza od czasu powstania Ligi Narodów, posługiwanie się specjalną, pozbawioną treści frazeologją, powtarzaną następnie i naśladowaną przez polityków oraz dziennikarzy w artykułach, korespondencjach, telegramach. Ileż naprzykład w ostatnich czasach rozpisywano się, także w prasie polskiej, o t. zw. „pakcie Kelloga“: czytelnicy dzienników dowiedzieli się najdokładniej o wyglądzie i umeblowaniu sali zegarowej na *Quai d'Orsay*, gdzie „historyczny pakt“ został podpisany, o porządku, w jakim zasiedli przy stole dyplomaci, o szczegółach zachowania się Brianda, o „uśmiechu“ Stresemanna...

Interesujące natomiast istotnie byłoby wyjaśnienie, dlaczego „pakt Kelloga“ z taką chęcią i skwapliwością podpisany został przez przedstawicieli mocarstw europejskich, podczas gdy projekt takiegoż samego paktu, zgłoszony przed rokiem w imieniu Polski przez min. Sokala w Genewie, spotkał się z chłodem, z uszczypliwemi uwagami Scialoi, ostentacyjnie oklaskiwanemi przez Chamberlaina, wreszcie został „utrącony“ przez nadanie mu charakteru „dezyderatu“, uchwalonego skromnie na posiedzeniu „trzeciej komisji“ Ligi. Albo tedy przypuścić należy, iż w przeciągu ostatniego roku dokonał się jakiś zasadniczy przełom moralny w życiu narodów, jak również w psychice ministrów spraw zagranicznych, albo też nagły a powszechny zapał do uroczystego „potępienia“ i „wyrzeczenia się wojny“ znalazłby tylko wiele dające do myślenia wytłumaczenie, iż tym razem z projektem odnośnej umowy wystąpił przedstawiciel Stanów Zjednoczonych, popierając go całym autorytetem moralnym dolara.

A następnie interesujące też niewątpliwie jest zagadnienie, dlaczego ów „przełom w dziejach ludzkości“, jaki stanowić ma podpisanie „paktu Kelloga“, musiał nastąpić właśnie tak punktualnie w sierpniu roku bieżącego, nie zaś np. w kilka choćby miesięcy później. Na tę sprawę niejakie światło rzuca oświadczenie kandydata na prezydenta Stanów Zjednoczonych z ramienia partji republikańskiej, Herberta Hoovera, który doprowadzenie do podpisania paktu Kelloga uważa za najwspanialszy triumf i największą zasługę swego stronnictwa. Można słusznie wątpić, czy wogóle doszłoby do „przełomu w dziejach świata“, gdyby partji republikańskiej nie zależało w chwili obecnej na działającym na wyobraźnię sukcesie, dostosowanym przytem do umysłowości wyborców z Buffalo czy Detroit...

Podobnie w sprawie stosunków polsko-litewskich na terenie międzynarodowym czytelnik gazet dowiaduje się u nas niemal wyłącznie o „oburzeniu“, jakie metody p. Woldemarasa wywołują stale śród mężów stanu, zebranych na zgromadzeniu Ligi Narodów, oraz w całej prasie zagranicznej. Chwilami wprost podziw budzić musi owa świeżość uczuć, ta zdolność oburzania się pośród ludzi tak, zdawałoby się, świeżości tej pozbawionych, jak dyplomaci i dziennikarze. Tymczasem ważne politycznie w całej sprawie jest to jedynie, że taktyka przewlekania, konsekwentnie stosowana przez p. Woldemarasa, prowadzi do wyników całkowicie odpowiadających celowi, jaki sobie w grze dyplomatycznej z Polską postawił dyktator kowieński, gdy, przeciwnie, przeniesienie sporu polsko-litewskiego na teren Ligi Narodów, dokonane w grudniu roku ubiegłego przez marszałka Piłsudskiego, bynajmniej Litwy do nawiązania normalniejszych stosunków z Polską nie zmusiło.

Wreszcie niebezpieczeństwa, wynikające z rokowań francusko-niemieckich w sprawie wcześniejszego opuszczenia przez wojska francuskie Nadrenji, często bardzo nie są przez polską opinję i prasę dostatecznie rozumiane i doceniane. Polska w sprawie tej jest zainteresowana bezpośrednio i odsunięcie Polski od bezpośredniego wpływu na jej rozstrzygnięcie, byłoby niezmiernie ciężką w skutkach porażką naszej polityki zagranicznej.

J. R.

NAUKA I LITERATURA

OLIMPJADA HISTORYKÓW

KONGRESY międzynarodowe uczonych, zwłaszcza te które mają w programie rozległe działy wiedzy, cieszą się od dość dawna nieco dwuznaczną opinją. Powiadają, że właściwa treść ich *Ding an sich*, ich *noumenon* występuje dopiero na bankietach, a nie w salach odczytowych: odczyty to tylko pozór do osobistego zbliżenia między uczestnikami. Zdolność twórcza kongresów nie jest w żadnym stosunku do sumy nagromadzonej na nich erudycji i talentu; tysiąc profesorów zebranych w jednej sali podlega tym samym prawom psychologji zbiorowej, które rządzą tysiącem mniej uczonych wiecowników. Przytem na kongresy zjeżdżają licznie obok prawdziwych naukowców, komiwojażerowie nauki, lowelasi różnych nauk, Ciekawscy i Wścibscy. *„Es giebt Gelehrte—und Kongressgelehrte“*—mówił do jednego z mych przyjaciół stary niemiecki profesor. Niemniej dlatego właśnie, że kongresom patronuje duch popisu i dążność do lekkiej syntezy, jeździć na nie trzeba, i odmówić im dodatniego znaczenia żadną miarą niepodobna. Rzeczywiście każdemu specjaliście przyda się sposobność do sprawdzenia, jak nikłą cząstkę stanowi jego mądrość w sumie wiedzy innych specjalistów; każda lokalna czy narodowa wielkość sprawdza

na kongresie, czy jej zdobycze interesują naukę ogólnoludzką i czy nie grzeszą jednostronnością poglądu.

Zjazd tegoroczny w Oslo nazwano dlaczegoś szóstym, chociaż naprawdę był to dopiero powszechny zjazd piąty (Rzym 1903, Berlin 1908, Londyn 1913, Bruksela 1923); widocznie albo zaliczono do powszechnych któryś ze specjalnych zjazdów odbytych w Paryżu, albo zachowano w numeracji miejsce dla Petersburga, gdzie w r. 1918 kongres nie doszedł z powodu rewolucji (podobnie jak Ludwik XVII i Napoleon II mają swe miejsca w kolejce, chociaż do korony nie doszli...) Organizacja zjazdu była naogół dobra, podobno lepsza niż w Brukseli. Komitet urządzający z prof. Halvdanem Kohtem na czele umiał nietylko umieścić wykłady w sąsiadujących ze sobą pawilonach uniwersytetu, ale i skupić myśli uczestników około wiekszych wspólnych zagadnień — z pominięciem drobiazgów. Podział na sekcje posunięto może trochę zadaleko (aż 15), ale tematy dyskusyjne ugrupowano umiejętnie, dzięki czemu można było rozprawiać nieraz nad kilku referatami. Deszcz, jak na zamówienie, spędzał pod dach uniwersytetu skłonnych do wywczasu uczestników, nie rozpraszały uwagi ani miejscowe sprawy polityczne, ani wieczorne rozrywki. Było zebranie zapoznawcze, było przyjęcie u dziedzicznego prezydenta republiki norweskiej, zwanego królem, potem tłumny raut w starodawnych murach zamku Akershus, również tłumny bankiet składkowy w Bristolu z dwudziestu kilku mowami różnych narodowości; dalej zwiedzanie muzeum etnograficznego na Bygdö urozmaicone produkcją tańców i śpiewów, wreszcie najsłabszy punkt programu — przedstawienie przestarzałej i płytkiej, wcale nie ibsenowskiej sztuki Ibsena p. t. „Związek młodych".

Zgłosiło się na zjazd historyków oraz miłośników historji obojga płci około 1200. Ilu przyjechało naprawdę, wie tylko komitet organizacyjny, który rozdawał legitymacje i druki zjazdowe. Wiadomo było zgóry, że tym razem wystąpią licznie Niemcy, przed pięciu laty w Brukseli nieobecni, że zatem warunki konkurencji będą wyższe. Istotnie przybyło uczonych niemieckich dużo, ale nie imponowali oni świetnością swych gwiazd, jak przed wojną w Londynie, gdzie można było oglądać i słyszeć Lamprechta, Gierkiego, Wilamowitza Moellendorfa, Edw. Meyera.

Francuzi, wówczas słabo reprezentowani, zato licznie w Brukseli (1923), starali się podobnie jak Polacy, zająć w Oslo poczesne stanowisko. Bądź co bądź, odległość i zasób gotówki zrobiły swoje: kongres w Oslo najłatwiej było obesłać Niemcom, Anglikom i Skandynawom. Z pierwotnego programu, według którego podaliśmy cyfrowe zestawienie w nr. 20 „Myśli Narodowej", niektóre referaty odpadły, inne przybyły na ich miejsce, ale i te, które zapowiedziano w zmienionym programie, nie wszystkie zostały wygłoszone. Co może gorsza, wiele ważnych tematów przeszło bez dyskusji. Rzecz to bardzo naturalna na wielkich kongresach, gdzie na kwestje drobne szkoda czasu, a na omawianie szerszych zagadnień nie pozwalają przepisy regulaminu (30 minut na referat, 5 na przemówienie w dyskusji). W każdym razie komitet organizacyjny powinien był rozsyłać streszczenia referatów na parę tygodni przed kongresem, a nie dopiero wręczać je członkom przybyłym do Oslo.

Szczególną uwagę poświęcili gospodarze zjazdu nacjonalizmowi, a szczególną troską otoczyli zgodne współżycie i współpracę narodów. Tuzin odczytów miał się obracać koło takich kwestji, jak: zagadnienie narodowości w świecie starożytnym (T. Wałek-Czernecki), w wiekach średnich (M. Handelsman), w dziejach nowożytnych (Prof. Dembiński), patrjotyzm a nauczanie historji (Aulard, który zresztą nie przyjechał), nauczanie historji a pojednanie ludów, wykształcenie historyczne a historyczno-naukowe, dostosowanie podręczników do idei pojednania ludów (Altamira, który też nie przyjechał).

W jakim kierunku szły te rozprawy nad nacjonalizmem, łatwiej zgadnąć, niż twierdzić pozytywnie. Rzecz bądź co bądź znamienna, że nacjonalizm zasiadł „na cenzurowanem" w stolicy kraju, który, choć nie ma w swem łonie poważnych mniejszości narodowych, musi jednak dla obrony własnego bytu uprawiać politykę narodową nietylko w dziedzinie gospodarczej, ale i w życiu duchowem, ba nawet w ortografji.

O czem pozatem nie mówiono w Oslo! W sekcji Metodologji spierano się o sens podziału historji na okresy, uzasadniano potrzebę i możliwość badania dziejów spółczesnych (Duńczyk P. Munch), roztrząsanie pojęcia analizy, syntezy, przesilenia, wpływu.

W sekcji Nauk Pomocniczych furorę zrobił Adoratskij z Moskwy opowiadaniem o doskonałej naukowej organizacji sowieckich archiwów. Wśród badaczy starożytności wyróżnili się (mówimy narazie tylko o nie — Polakach) Szwed M. P. Nilsson (rozbiór wiarygodności podań) i Niemiec U. Wilchen (Filip Macedoński wobec związku Korynckiego). Wśród medjawalistow H. Fehr bronił wartości historycznej podań o początkach Szwajcarji, które wywodził z osobistego sprzymierzenia miłośników wolności, czerpiących natchnienie z Italji. W sekcji nowożytnej Niemcy H. Oncken i H. v. Srbik omawiali: pierwszy wpływy niemieckie na rozwój ruchów narodowych w Europie w XIX wieku, drugi — o zjednoczeniu Niemiec w okresie 1814 — 66. Michel L'Héritier poruszył temat absolutyzmu — nie pozbawiony dziś w oczach pewnych kół aktualności, Harold Temperley analizował wpływ biurokracji (ekspertów) oraz opinji publicznej na najnowszą politykę wielkobrytańską. Między historyków egzotycznych trafił niewiadomo dlaczego Bernard Fay z ciekawym komunikatem o roli towarzystw naukowych w Wieku Oświecenia (po części kierowanych przez masonerję). Wśród historyków prawa rej wodzili Niemcy; nad literaturą porównawczą panowali Polacy. Na osobną sekcję nordyjską złożyli się w większym stopniu przedstawiciele innych krajów, niż Skandynawji. W sekcji nauczania historji spierali się o prawdę, o patrjotyzm, o zbliżenie między ludami etc. Francuzi, Niemcy i wogóle wszyscy. Szwed M. Carlgrau przedstawił sprawozdanie z ankiety o tendencjach szowinistycznych w podręcznikach różnych krajów; zabawną próbkę „porozumienia" zrobiła Sekcja, gdy pewien Francuz (Eisenmann) przemówił po niemiecku: z sali odezwały się protesty, kwestję języka poddano pod głosowanie, które wobec równości głosów musiano powtórzyć. Zmobilizowali się Francuzi — i Niemców przegłosowali. Przeciwko Polsce, poza archeologicznemi wywodami La Baume'a z Gdańska na temat dawności germańskiego osadnictwa nad Wisłą, bojowych wystąpień nie było. Hruszewski zapowiedział referat o Chmielnickim z widoczną, znaną tendencją, ale nie przyjechał. Litwini się nie poznali na kapitalnej analogji, jaką mogli przeprowadzać między swoją dolą i losem Norwegów i nie przysłali nikogo. La Baume'owi mocną odprawę dali J. Kostrzowski i M. Rudnicki. Znaczny sukces odniósł W. Sobieski, mówiąc o tolerancyjnej konfederacji warszawskiej 1573 r. Po dwa referaty przedstawili profesorowie St. Witkowski (o pochodzeniu Hiszpanów i o historjografji greckiej),

T. Wałek-Czernecki (świadomość narodowa i partyjność w świecie antycznym), Tad. Zieliński; aż trzy O. Halecki (zjednoczenie Kościołów, stosunki Jagiellonów z północą skandynawską, zasady podziału historji na okresy), Stan. Kot z powodzeniem zaproponował międzynarodowe wydawnictwo korespondencji humanistów. Polemikę wywołały referaty J. Rutkowskiego z dziejów stosunków agrarnych oraz M. Sokolnickiego o Wilhelmie II i Bismarcku wobec Rosji; nie wzbudziły echa tematy poruszone przez K. Tymienieckiego i niżej podpisanego. W szczególności „Sprawę bałtycką w czasach nowożytnych" zbojkotowali Niemcy z pobudek zrozumiałych oraz Polacy — też z pobudek zrozumiałych (abominacja od morza).

Naogół występ Polaków na Kongresie wypadł dobrze. Przysłaliśmy stosunkowo najwięcej czynnych referentów i najmniej biernych słuchaczy. Zrobiliśmy duży wysiłek ku opanowaniu problematów powszechnodziejowych; mówili podobno zajmująco i bez kaleczenia obcych języków; od dyskusji wcaleśmy nie stronili. Działali Polacy może mniej solidarnie niż Niemcy, ale zgodniej niż Rosjanie, wśród których amerykański profesor Rostowcew, znakomity archeolog, dyskredytował kolegów z Bolszewji, zarzucając im marksowski dogmatyzm. Na siedem obecnych w Oslo prelegentek były cztery Polki (Z. Daszyńska-Golińska, W. Knapowska, Wł. Moszczeńska i N. Gąsiorowska). Złe wrażenie zrobiła atoli nagła nieobecność wielu wybitnych naszych historyków, zwł. medjewalistów: dość powiedzieć, że na kongres nie przybyli, choć zgłosili referaty, W. Semkowicz, J. Dąbrowski, St. Zakrzewski, St. Kutrzeba, Fr. Bujak, J. Rozwadowski, K. Dobrowolski, Stef. Czarnowski. Nawet bez nich wyglądaliśmy wcale poważnie; z nimi razem wystąpilibyśmy wprost imponująco.

Zresztą, jeżeli chodzi o popis nauki polskiej w Oslo, to na plenarnych, najbardziej popisowych posiedzeniach okazaliśmy się stanowczo „wielkiem mocarstwem". Świetny był jak zawsze Henri Pirenne ze swym wywodem, że nie inwazja germańska, ale dopiero arabska odwróciła kartę dziejów świata; imponował N. Jorga śmiałością i szerokością poglądów na krzyżowanie się wpływów zachodu i wschodu; wzorowe wykłady wygłosili: K. Brandi o Karolu V, Holland Rose o orjentalnej polityce Napoleona; ale narówni z Pirenne'm i Jorgą, wyżej od innych, wyżej zwłaszcza o kilka głów od zakutego marksisty Pokrowskiego stanął nasz Tadeusz Zieliński: odczyt jego (przedostatni z cyklu) p. t. „*L'homme antique et l'homme moderne— une confrontation*" stwierdził za pomocą głębokich, przepięknych zestawień pierwszeństwo myśli u starożytnych, pierwszeństwo woli u ludów nowożytnych; jakkolwiek profesor mówił o 10 minut zadługo, słuchano go w skupieniu ducha z prawdziwą rozkoszą.

Kiedy umilkły oklaski po przemówieniu ostatniego z prelegentów na plenum, prezes zjazdu Halvdan Koht stanął na mównicy z ciężkim plikiem rezolucyj proponowanych przez różne sekcje. Po sali przebiegł szmer niepokoju: jeszcze tyle do przeczytania? Tyle głosowań, może nawet dyskusyj? Na ów szmer tylko czekał prezes dziejopisarskiej elity zgromadzonej w Oslo: zgodnie z praktyką najdemokratyczniejszych parlrmentów zaproponował i przeprowadził uchwalenie wszystkich wniosków *en bloc*, bez dociekania, co się w nich właściwie zawiera. Szkoda, że jednej uchwały, dla nas wyjątkowo ważnej, nie ogłoszono wówczas *urbi et orbi*: że następny VII kongres odbędzie się za lat pięć w Warszawie. Taka jest jednak od lat kilku organizacja cechu dziejopisarskiego na świecie, że uchwały obowiązujące stanowi nie doraźny, z przypadkowo obecnych ludzi złożony kongres, lecz komitet wykonawczy, oparty na organizacjach historyków poszczególnych narodów. Otóż komitet przyjął z aplauzem zaproszenie do Warszawy już po zamkniętym zjeździe.

Na rok więc 1933 musimy się przygotować starannie: zarówno my historycy, jak my wszyscy, gospodarze Polski. Rzeczą będzie zawodowców o tyle ulepszyć swą organizację i stworzyć takie dzieła w najbliższych latach, aby się za nas cienie Naruszewiczów, Lelewelów i Szujskich nie potrzebowały wstydzić! Rzeczą całego narodu — zrobić dalszy wysiłek gospodarczy i kulturalny, aby ci, co świeżo zwiedzali, nieraz z podziwem i zazdrością, uroczą Norwegję i bogatą Danję, poznali polską gospodarkę z najlepszej strony. Dwie rzeczy nadewszystko muszą być za pięć lat gotowe: Wawel i Gdynia.

WŁADYSŁAW KONOPCZYŃSKI

DESCENSUS AVERNI

KSIĄŻKA, którą w tej chwili mam omówić[1]) była małą sensacją literacką z powodu sprezentowania sobą dość niezwykłej spółki autorskiej: europejskiej sławy matematyk, profesor i dziekan stołecznego uniwersytetu, wystąpił obok literackiego cygana, znanego dobrze z kawiarni krakowskich i warszawskich. Narzucało się pytanie, co ludzi tych połączyło we współautorstwie. — Biorąc rzecz ze strony zewnętrznej, przedewszystkiem — obok gustu do poezji—erudycja i wykwintna kultura duchowa. Erudycja autorów przeziera już ze sposobu, w jaki swój zbiór poezji streścili określeniem: *Descensus Averni.* Tak samo pokazuje to już, że kultury wymagają i od czytelnika. Kto zna „Eneidę", przypomni sobie, gdy Eneasz „za rozkazaniem Sybile ofiary piekielnym bogom poczyniwszy, z nią pospołu do piekła od Awerna stępuje: tedy od Charonta przewoźnika przez rzeki straszliwe przeprawiony rozmaite miejsca piekielne, i Dydonę królowę, i dusze, i dusz złych rozliczne srogie męki za ukazowaniem Sybile widzi". (Cytuję według „argumentu" księgi szóstej przekładu Andrzeja Kochanowskiego z r. 1590). A cytat ten jednocześnie wyjaśnia dokładniej związek między autorami — wynikający z pokrewnych najgłębszych dyspozycyj duchowych, wzmocniony, być może, podobnemi przeżyciami, bliskiemi sobie wrażeniami psychicznemi. Wobec przeżyć ludzkich są widzami i aktorami cierpień, będących niby zstąpieniem do piekła. I to głębokie, rzec można potężne, poczucie nędzy istnienia znalazło u obu wyraz przejmujący nieraz w swem tragicznem pięknie.

...Nad wodą rzek piekielnych posępną i czarną
Wznosisz się i opadasz marny ludzki cieniu,
Patrząc, jak zwolna gasną blade tęcze złud — —
— Aż z ciała wyłuskany, jako z kłosa ziarno,
W popiele żądz wystygłych i łez gorzkich lśnieniu
Nagi i drżący zstąpisz w Acherontu bród[2]).

I znowu:

...Spójrz pozad — i przed siebie zwróć milczącą twarz:
Za tobą dym zgorzelisk i łun mroczny żar —
Przed tobą — paszcza nocy wieje pustyń kurz...
— Aże ci pierś przebodą gwoździe lęku: twa—ż
Była to własna przeszłość, którą płomień żarł?...
Twoja—ż to droga wiedzie w taką głuszę głusz?!...[3])

---

[1]) Mieczysław Dunin i Stefan Mazurkiewicz: *Descensus Averni.* Sonety patetyczne. Warszawa MCMXXVII.

[2]) Stefan Mazurkiewicz.

[3]) Miecz. Dunin.

W podobnych strofach jest zrozumiała każdemu cierpiącemu sercu rozpacz i negacja. — A jednak w kręgu pesymizmu nie zamyka się, nie kończy się całkowity stosunek do życia. Wergilowemu Eneaszowi, jak wiadomo, dano było z kolei ujrzeć Elizium, „mieszkanie dusz świętych" i próżnych cierpienia. „*Descensus Averni*" ma też swoją afirmację. Owiany tchnieniem śmierci, w końcowym akcencie mówiący o niepowrotnej drodze w Wieczność, uczy i stosunku do wieczności, zaprawionego metafizycznym optymizmem, tak dobrze dającym pogodzić się z łamaniem się w męce doczesności.

— Nędzarzu, któryś znaczon imieniem człowieka!
Pyle ziemny—i liściu, miotany wichurą...
Zanim noc cię ogarnie, co—ć cierpliwie czeka,
Spójrz w gwiazdy, co się snują i dołem i górą —
I uczuj Wiekuistą nad mrokiem Moc—którą
Byś wreszcie z bliska poznał — masz wielbić z daleka!

Jest w „*Descensus*" ów *Weltchunerz* w najlepszem słowa znaczeniu, a jest i wiara mistyczna. Dwa stygmaty, które w zmienności stuleci znaczyły artystów.

Paryż TADEUSZ NEWLIN-WAGNER

ROCZNICE

W roku bieżącym przypada wiele rocznic obliczanych na setki lat. A więc Albrecht Dürer umarł 1528, poeta francuski Remi Belleau, najznakomitrzy z Plejady po Ronsardzie, autor „*La Bergerie*", w tymże roku się urodził. W roku 1628, trzysta lat temu: umarł Fran. Malherbe, urodził się Charles Perrault (jego jest Tomcio Paluch), w r. 1728 urodził się Oliwer Goldsmith autor „Wikarego z Wakefield". W r. 1828 urodził się: Dante Gabriel Rossetti (znakomity malarz angielski), George Meredith, Edmund About powieściopisarz, Hipolit Taine, Juljusz Verne, a w Rosji Lew Tołstoj.

Z tych wszystkich twórców w polskim świecie literackim najbardziej bodaj uczczono Tołstoja. A jest coś tragicznego w tym hołdzie, gdy składa go cywilizacja europejska, dla której Tołstoj był tem większą siłą rozkładową, im większą w nim widziano potęgę talentu. Bolszewizm słusznie mu hołd składa, bo był ideowym jego twórcą. Składają mu hołd literaci, którzy utrzymują, że sztuka jest sobie, a życie sobie. A tymczasem widzimy, jaka to prawda, skoro od Tołstoja zawaliło sie życie. Rousseau i Rewolucja francuska, Tołstoj i bolszewizm — oto dowody, jaki może być stosunek literatury do życia dziejowego.

Tołstoj, ten cudownej krasy jadowity kwiat wschodu europejskiego będzie po wszystkie czasy okazem sztucznej hodowli cywilizacyjnej, osiągniętym przez zaszczepienie rosyjskiego nihilizmu na pniu niemieckim (pochodzenie Tołstoja było niemieckie). Rosyjskie rąk opuszczenie i pogarda cywilizacji, jako walki ze złem, w połączeniu z niemiecką manją filozofowania teoretycznego wytworzyło ów jad, który zatruł słabą duchowość społeczną Rosji. W r. 1917 najwięksi pisarze Rosji ginącej rzucali przekleństwa na głowę Tołstoja. On nas zgubił — wołali (Andrejew).

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Z radością witać należy wydawnictwa krajoznawcze. Wśród nich wybitne miejsce zajmuje serja „Cuda Polski", zainicjowana przez Wydawnictwo Polskie w Poznaniu. Opracowanie powierzono wybitnym krajoznawcom. Jerzy Smoleński ogłosił właśnie monografię „Morza i Pomorza", pisaną nadzwyczaj zajmująco i przystępnie. Spotykamy tu najpierw opis polskiego wybrzeża morskiego, tj. półwyspu helskiego, zatoki gdańskiej i zatoki puckiej. Puckowi i Gdyni poświęcono dużo miejsca, szerzej zajęto się rybołóstwem morskiem. Wśród miejscowości kąpielowych zasługiwałaby na wzmiankę Jastrzębia Góra. Dalsze rozdziały opisują Kaszubską Szwajcarję i połać Borów Tucholskich. Dochodząc do doliny Wisły, autor dłużej zatrzymuje się nad miastami nadwiślańskiemi: Toruniem, Chełmnem, Świeciem, Grudziądzem, Gniewem, Tczewem. Ostatni rozdział poświęcony jest ziemi chełmskiej i pojezierzu brodnicko-lubawskiemu omówiono tu Chełmżę, Gołub (niesłusznie zrobiono zeń Gołąb) i Brodnicę. Zasługiwałyby na omówienie także niektóre inne miasta, np. Starogard, któremu nie brak zabytków. Cały tekst bogato i prześlicznie ilustrowany (heljograwjury według zdjęć J. Bułhaka, T. Cyprjana, R. Ulatowskiego i in.), okładka według projektu Mackiewicza. Zapowiedziano już tomy poświęcone Warszawie (Janowski) i Poznaniowi, a w projekcie są tomy dalsze, poświęcone Wilnu i ziemi Mickiewiczowskiej, Tatrom i Zakopanemu, zabytkom Krakowa, bogactwu Śląska, Beskidom, Polesiu, Podolu i in.

*

Nakładem Książnicy-Atlas ukazało się szóste wydanie książki prof. Antoniego Peretiatkiewicza pt. „Państwo współczesne". Nowe wydanie tej książki zostało znacznie rozszerzone. Obok ustroju politycznego Anglji, Francji, Stanów Zjednoczonych i Rosji Sowieckiej przedstawiony został ustrój polityczny Niemiec współczesnych. Zarys ustroju konstytucyjnego Polski również rozszerzony, przyczem uwzględniono reformę konstytucji oraz najnowsze dekrety administracyjne.

*

Prof. Tadeusz Sinko ogłosił wspomnienia z własnych podróży po Grecji, dając im tytuł „Od Olimpu do Olimpji" (wyd. Książnica-Atlas). Choć podróż cała, obejmująca okres jednych feryj świątecznych, odbyła się w prędkim tempie, jednakże wrażenia stamtąd wyniesione złożyły się na tom wcale pokaźny. Do zwiększenia rozmiarów książki przyczyniły się nietylko ilustracje, których jest aż 200 (wszystkie ciekawe), ale i obfitość tzw. wyciągów, tj. wypisów ze źródeł starożytnych i współczesnych, któremi autor zastępuje rzeczy, na których osobiste poznanie nie pozwolił mu brak czasu. Widać, że nim wyruszył w drogę, zaopatrzył się w spory zapas wiadomości potrzebnych, a ta erudycja pozwoliła mu poruszać się z zupełną swobodą po terenie greckim. Mając w pamięci i na uwadze głównie Grecję starożytną, prof. Sinko nie spuszcza z oka i dzisiejszej Grecji, uważnie przyglądając się jej obyczajom i stosunkom (zwłaszcza politycznym). Z książki tej, pisanej ze swadą i żywo, wiele nauczyć się można; za jedyny jej błąd poczytać należy mylną transkrypcję wyrazów nowogreckich, które przecie wymową zgoła się różnią od języka dawnych Hellenów.

*

Uczennica Jacka Malczewskiego, znana malarka Michalina Janoszanka wydała niedawno (nakł. Zakładów Wychowawczych Tow. I. Michała Archanioła w Miejscu Piastowem) tomik pięknie przez siebie ilustrowanych „Nowel". Autorka zdradza wyraźny talent zarówno malarski jak i pisarski; nowele posiadają wiele zalet stylu, ton miły i rzewny, a w pomysłach wiele bądź wdzięku bądź tragicznej grozy. W znacznej części treść ich zaczerpnięta jest z życia ludu, zwłaszą z okolic Pienin, czem autorka zbliża się do Jana Wiktora, któremu pokrewna jest niekiedy nastrojem lub skłonnością do szczegółów legendarnych. Tak Maciuś z „Wiosny" jest jakby bratem Wojtusia z Wiktorowej powieści „Przez łzy". „Legenda pieśni" — o królowej Kindze — już była kiedyś opracowana przez Szujskiego. Kilka powiastek ma za podłoże ubiegłą wojnę; wśród nich najbardziej wzrusza opowieść o „Dwóch matkach". Przejmująca jest opowieść o góralu, który idąc na operację i dowiedziawszy się że po niej stracić musi głos, mówi bez lęku ostatnie słowa: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus". Osobne miejsce w tym zbiorku zajmuje powiastka „Biała babcia" — o kobiecie, która napróżno oczekiwała zesłanego na Sybir narzeczonego.

*

W przekładzie Witolda Hulewicza ukazała się powieść Reinera Marii Rilkego: „Malte (Pamiętniki Malte-Laurids'a Brigge)". W twórczości Rilkego „Malte" zajmuje ważne stanowisko: pozwala, jak może żadna inna, wejrzeć w głąb duszy zmarłego przed dwoma laty poety.

Zasadaniczą cechą Rilkego, jako pisarza, jest niezmiernie wyostrzona wrażliwość: jest on wyrazicielem wzruszeń nietyle najgłębszych, ile najbardziej bezpośrednich, a potrafi notować je z zadziwiającą dokładnością i prawdą. Jest też raczej poetą nerwów, niż uczuć, aczkolwiek chwilami (np. gdy pisze o „kobietach miłujących") umie stać się piewcą przeżyć szlachetnych i głębokich.

Przekład Witolda Hulewicza poprawny, niekiedy nawet nazbyt staranny, w tem znaczeniu, że staranie to zanadto jest dla czytelnika widoczne. Przedmowa tłumacza sprawia raczej wrażenie hymnu na cześć Rilkego, aniżeli próby pobieżnego chociażby zapoznania z jego indywidualnością pisarską i stanowiskiem we współczesnej literaturze.

*

„Słowo Pomorskie" wydaje co miesiąc dodatek naukowo-literacki „Mestwin". Jest to wzór dla wszystkich okolic Polski, jak należy traktować pracę narodową regjonalną. W nr. 9 znajdujemy artykuł Zofji Sikorskiej o literatce Prus zachodnich Annie z Bardzkich Karwatowej. Tadeusz Pietrykowski daje obszerną recenzję o „Morzu i Pomorzu" J. Smoleńskiego i o „Walce o Pomorze" W Sobieskiego. Doskonale prowadzona kronika pomorska naukowa i literacka (12 artykułów) zamyka ten numer.

U SŁOWIAN

Słowieńcy posiadają w Lublanie towarzystwo naukowe dla nauk humanistycznych, stanowiące dla nich rodzaj akademji umiejętności. Nosi ono nazwę *„Ƶnanstveno drustvo za humanisticne vede"*. Towarzystwo to wydaje znamienite czasopismo p.n. *„Rozprave"*, którego ostatni czwarty tom zawiera nader interesujące studjum prof. lublańskiego uniw. J. Prijatelja o „Problemie słoweńskim, słowiańskim i jugosłowiańskim u Słowieńców na przełomie lat 60-ych i 70-ych". Na podstawie przeważnie dotąd nieznanych źródeł oświetla autor rozwój idei narodowej u Słowieńców, którzy rozbudzeni do życia narodowego wespół z innymi Słowianami połud. Austro-Węgier przez wielki ruch iliryzmu, usilnie pracowali odtąd nad zbliżeniem się z pobratymcami, kołysząc się najpierw w latach 60-ych myślami o samodzielności, wyodrębnieniu ziemi słoweńskiej w Austrji, a po wojnie franc.-pruskiej stanęli silniej przy wspólnym z Chorwatami i Serbami programie jedności jugosłowiańskiej.

*

Najgłośniejszy dziś poeta Słowieńców Oton Župancic obchodził niedawno, jak w swoim czasie wspominaliśmy, 50-tą rocznicę swoich urodzin („Myśl Nar." nr. 8). Wielbiciele poety uczcili go teraz wspaniałą księgą pamiątkową, pt. *„Jubilejni zbornik za petdesetletnico Otona Župancica"* (Ljubljana 1928). Dzieło podzielić można na część osobistą: obficie ilustrowany życiorys poety ze szczegółową bibljografją utworów, dalej nader interesujący wybór korespondencji z współczesnymi wybitnymi Słowieńcami — oraz na „szkice twórczości" jubilata. Z pośród tych ostatnich najładniejszy jest szkic Albrechta o bogactwie słownictwa i pięknie formy utworów poety. Mały, zaledwie półtoramiljonowy naród słoweński jest dumny z posiadania Župancica i wdzięczny mu za duchowe prowadzenie naprzód w ciężkim boju pod zaborem.

*

Pierwsza wojna bałkańska jest dla Słowian tamtejszych wciąż chlubnem wspomnieniem, kiedyto zgodnie połączeni wyparli Serbowie i Bułgarzy tureckiego ciemiężcę z całego niemal obszaru im się jeszcze należącego. Pełne owoce zwycięstwa zebrała Serbja. Historyk serbski Stanoje Stanojević opracował bezpośrednio po wojnie, teraz dopiero jednak wydane, dzieło o owej walce oswobadzającej: *„Srpsko-turski rat 1912 godine"* („Wojna serbsko-turecka 1912 r."). Obok przebiegu operacyj wojennych omawia autor nader zajmująco rokowania dyplomatyczne przed zawarciem sojuszu bałkańskiego i w czasie wojny. Porusza również kwestję przyczyny owych zdumiewających zwycięstw wojsk serbskich. Widzi przyczynę tę przedewszystkiem w entuzjazmie żołnierzy dla celów walki oraz w doskonałej wojskowo i społecznie strukturze armji.

*

Piśmiennictwo słowackie poniosło ostatnio ciężką stratę przez śmierć jednego z najgłośniejszych swych nowelistów Martina Kukucina (wł. Matej Becúr, 1860 — 1928), zwanego „słowackim Gogolem". Zmarły, czas jakiś lekarz w Ameryce południowej, tworzył głównie w latach 1883—1912. W jego nowelach przejawia się duży wpływ czeskiej grupy *„Lumiru"* także i Gogola. Kukucin malował głównie życie ludu wiejskiego, doskonale chwytając swoiste cechy charakteru słowac., był przytem doskonałym humorystą. Z ważniejszych dzieł można wymienić: *„Rysavá jalowica"* („Gniada jałówka") *„Tiene i svetlo"* (Cienie i światło), *„Rekrúti"*, *„Mat' volá"* (Matka woła); z pobytu z pobytu w Chorwaeji pochodzi powieść *„Dóm v strání"*; socjalnym dramatem jest *„Komasacia"*, na tle kwestji agrarnej w dawnych Węgrzech. Kukucin był czołowym przedstawicielem realizmu w prozie słowackiej

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

„Dieu protège le Tsar" (Albin Michel edit.) to bardzo ciekawa powieść historyczna p. Louis Dumur, autora *„Nach Paris"* i *„Défaitistes"* w której na podstawie faktów odmalowuje zepsucie i rozkład społeczeństwa rosyjskiego w przededniu wojny światowej. Wpływ bowiem Rasputina staje się coraz bardziej przemożny, a dociera on do wszystkich warstw narodu, począwszy od prostych jak on mużyków, a skończywszy na carowej, a przez nią i carze. Skutki zaś tej hypnozy kolektywnej są dla kraju zarówno pod względem moralnym, jak i politycznym fatalne. Wyjdą zaś one na jaw, gdy się będą rozstrzygały losy Rosji, ale wtedy będzie już zapóźno.

Ten cykl jej nieszczęść zapoczątkuje wielka bitwa dookoła sławnych jezior Mazurskich, zdrada Rennenkampfa, inercja czynników wojskowych z ministrem wojny Suchomlinowem na czele. Rasputin zresztą jest otoczony Żydami, a wiadomo, że ci szli ręka w rękę z Berlinem. Rosja jednak ślepo wierzy w „cudotwórcę", który przyczyni się do jej zguby. W to opowiadanie historyczne wmieszany jest romans dwojga młodych ludzi, których uczucia szczere i zdrowe poczucie patrjotyczne tem dobitniej występują na tle ogólnego zepsucia, którego p. Dumur kreśli nam bardzo charakterystyczne, a realistyczne obrazy. Jedna też ze scen końcowych orgji Rasputina nie jest wskazana, aby dostała się do rak młodych czytelników.

*

Piórem lekkiem, pełnem werwy literackiej i subtelnej ironji p. Nicolas Segur porusza temat głośnej romantycznej miłości, jaką była miłość Goerges Sand i Alfreda de Musset. Ta biografja romantyczna, nie należąca jednak do żadnej specjalnej kolekcji, nosi zresztą bardzo *moderne* tytuł, a mianowicie *„Elle et Lui a Venise"* (Albin Michel édit). Perypetje tego romansu dwojga wielkich pisarzy są ogólne znane. P. Segur potrafił jednak przedstawić je w tak ciekawem świetle, że należy stwierdzić, iż najbardziej interesującemi powieściami są bodajże biografje sławnych ludzi.

*

Autorką ciekawej książki p. t. *„L'Heritiére du Roi Salomon"* (Grasset èdit.) jest pani Claude Eylan. Akcja książki nie toczy się na kontynencie europejskim. Przeniesieni bowiem zostajemy na Jawę z której malowniczemi krajobrazami jak i z interesującemi obyczajami zapoznaje nas p. Claude Eylan. Potęga i bogactwo pewnego plantatora z Indyj Niderlandzkich jest tak wielka, że został on ogólnie przezwanym „Królem Salomonem". Po pobycie we Francji zabiera on ze sobą jedną ze swych siostrzenic o ogromnej inteligencji, a ta, zresztą po najrozmaitszych przejściach, staje się jego spadkobierczynią. Z roli tej wywiązuje się onaświetnie, gdyż potrafi przysporzyć jeszcze bogactwa i utrzymać porządek na rozległych terytorjach, jakie do niej należą. To życie, pełne niepokoju, a w którem trzeba rozwinąć ogromną energję czynu tak jej się przytem podoba, że je przekłada nad miłość, kochanego zresztą człowieka, i rozkosze zbyt banalne współczesnej Europy.

TEATR

„TAMTEN"

Nie bardzo wiedzieliśmy, co robić z sobą na premierze (wznowieniu) dramatu Gabrjeli Zapolskiej „Tamten". Sztukę tę autorka napisała (jako Maskoff) na użytek propagandowo-polityczny w czasie panowania w zaborze rosyjskim żandarma. W tym charakterze przeznaczenie swoje sztuka spełniła— i to z zastrzeżeniami, które od początku opinja robiła.

Zapolska przy wielkiem poczuciu dramatyczności miała bardzo słabe poczucie życia politycznego. Stąd wynikło, że osadziła dobry dramat na naiwnym wątku politycznym, a dalej wynikło to, że „Tamten" — jako propaganda — więcej złego wyrządził, niż dobrego. Zanadto dobrą była artystką, aby rysować ogólnikowo postaci żandarmów, jakby to na bombę propagandową wystarczało. Zainteresowała sie niemi bliżej, wysunęła na plan pierwszy, pokazała jako ludzi indywidualnych. A że osobiście nie miała do nich nienawiści, wypadły one pełniej, niż figury polskie, a przez to samo, że stały się zrozumiałe, są artystycznie bardziej pociągające.

I stało się, że sztuka ta, pomimo niepospolitych wartości literackich, była chybiona. Więcej z nią było kłopotu, niż pożytku. Cieszyliśmy się, że minęła już doba żandarmów, jak ciężki sen, i że niema już potrzeby słuchania zgrzytliwego, niemiłego w tonie dzieła Zapolskiej. Kto wiedział o tem, z jakiem upodobaniem rosjanie wymykali się do Krakowa, aby siebie podziwiać na scenie, ten z niesmakiem słuchał tej sztuki, w której aktorzy mówią po rosyjsku, a rolę Polaków, skazanych przez autorkę na bierne bohaterstwo, grają jak manekiny. Teraz więc, znalazłszy się na „Tamtym", czuliśmy się tak, jakby kto nas prześladował widmem nędzy dawnej, lub kazał spożywać to, cośmy już wypluli.

Trudno nam wpaść na domysł, dlaczego tę sztukę wystawiono w teatrze Polskim. Chyba dlatego, że jeszcze żyją aktorzy, znający mowę rosyjską.

Z. W.

ŚP. KAZIMIERZ KAMIŃSKI

W DNIU 9 września zmarł w Warszawie znakomity artysta dramatyczny Kazimerz Kamiński w 63 roku życia. Ostatnią kreację jego widzieliśmy w „Panu Damazym" Blizińskiego (rejent).

Nie miał sobie równych w tym rodzaju gry na scenie polskiej. Był to rodzaj realistyczny, usiłujący środkami zewnętrznemi wyrażać charakterystycznie stany psychiczne. Stany te Kamiński pojmował po swojemu, z dużą jednak intuicją, ale to, co pomyślał, umiał z taką wirtuozją plastycznie uzewnętrznić, że nikt po nim inaczej danej postaci nie mógł sobie wyobrazić. Miał dużą kulturę malarską i rzeźbiarską, a psychologję swoją wziął ze szkoły teatru rosyjskiego. Była to szkoła chłodnego, intelektualistycznego naturalizmu, gardzącego sentymentem.

Do rozkwitu pełnego doszedł jego talent w teatrze Tadeusza Pawlikowskiego, który go wysoko cenił. Teatr w Krakowie stał wtedy (w r. 1898 — 99) na wyżynach artyzmu twórczego, współzawodnicząc z malarstwem i poezją Młodej Polski. Pawlikowski, Kamiński i Solski byli współtwórcami teatru z Wyspiańskim. Pokolenie to wierzyło, że zdobędzie Polskę szturmem w drodze czystej sztuki.

Spadkobiercą tego dorobku artystycznego i ambitnych tradycyj, nawet artystów stał się teatr Narodowy, czekający wezbrania nowych sił. Ze starych ubywa nieodżałowany Kazimierz Kamiński.

NOWE KSIĄŻKI

Pawlikowski J. G. H. Bajda o Niemrawcu z drzeworytami Wł. Skoczylasa. Medyka 1928. Nakładem „Bibljoteki Medyckiej",

Conrad Joseph. Szaleństwo Almayera. Z przedmową St. Żeromskiego (i portretami). Wydanie trzecie. Warsz. 1928. Dom Książki Polskiej,

Peretiatkowicz Antoni prof. Państwo współczesne Warsz. 1928. Książnica-Atlas. S. 194 (zł. 6,40)

Münnich Adam Stanisław Przybyszewski. Toruń 1928. S. 32.

Ustawa o prawnem uznaniu syndykatów i prawnem uregulowaniu zbiorowych stosunków pracy. Tłumaczył z italskiego Jan Zamorski. Łódź 1928. Wydawca St. Lipkowski (zł. 2,50). S. 96.

Księga Pamiątkowa pierwszego polskiego zjazdu filozoficznego we Lwowie 1923. „Przegląd Filozof.", zesz 4 tomu 30-go.

Księga Pamiątkowa drugiego polskiego zjazdu filozoficznego w Warszawie. 1927 r. „Przegląd Filozof.", zesz. 1—2 tomu 31-go. S. 225.

Doczynul Górny Śląsk tonie w żydowskiej powodzi. S. 23. (Katowice, 1 wrzesień 1928)

Źródła mocy. Czasopismo krajowe, poświęcone kulturze regjonalnej ziem b. W. ks. Litewskiego. Rok II, zesz. 4. Wilno 1928. S. 180.

Przegląd Powszechny. Kraków. Wrzesień.

Zuber Stanisław. Powierzchniowe ruchy tektoniczne, geneza wulkanów błotnych oraz geologiczne warunki powstawania złóż węglowych. (Kraków 1928). Osobne odbicie z Rocznika Pol. Tow. Geologicznego, t. V. S. 107.

Sprawozdanie bibljoteki miejskiej w Bydgoszczy 1920-27. Bydgoszcz 1928 r.

Tormay Cecylja. Księga tułaczy. Notatki z 1918-1919 r. Przekład St. Studzickiej. Warsz. 1928. Bibl. Domu Pol.

Jawornicki Aleks. M. Synowie Kaina. Bibl. Domu Polskiego.

NA MARGINESIE

W organie Związku Naprawy Rzeczypospolitej, tygodniku Przełom" (nr. 31—32), p. Zygmunt Tomczak z podziwu godną odwagą porusza niemiły chyba dla ludzi z obozu „sanacyjnego" temat, pisząc artykuł pt. „O świętość przysięgi". P. Tomczak domaga się zniesienia przysięgi w sądach (najwidoczniej przysięga w wojsku w niczem mu nie przeszkadza), zauważył bowiem, że świadkowie, mimo złożenia przysięgi, często kłamią, ceremonjał przysięgania jest „mechaniczny", całowanie krzyża przez świadków „niehygieniczne"... „Na miejsce przysięgi" — radzi p. Zygmunt Tomczak — „wprowadzić należy uroczyste zobowiązanie mówienia prawdy i paragraf ten otoczyć powagą"...

Chcąc usunąć przysięgę z sądów, publicysta „Przełomu" stacza walkę, jak twierdzi, w imię „poszanowania religji", w imię obrony krzyża przed „sprofanowaniem". „Czas już najwyższy" — nawołuje z emfazą — „aby położyć kres tym niepotrzebnym, przykrym, a w gruncie rzeczy średniowiecznym ceremonjałom. Religja na tem traci".

Rząd meksykański w dbałości o „poszanowanie" religji okazał się bez porównania gorliwszy od p. Tomczaka. Tam już nawet Mszy św. odprawiać dzisiaj nie wolno, z obawy, aby wierni nie profanowali jej „mechanicznem" powtarzaniem słów modlitwy...

*

„...pozwólcie panowie pedagodzy, nauczyciele i wychowawcy naszej młodzieży zająć sobie chwilę czasu, byśmy się mogli porozumieć w sprawie waszej, tak szlachetnej i tak odpowiedzialnej pracy... Mowa nasza będzie tak prostą, jak sprawa, która nam leży na sercu, a która wyrasta nam z serca razem z bezbrzeżną miłością dziecka i Ojczyzny naszej".

Temi słowy rozpoczyna artykuł pt. „Zechciejcie zważyć panowie pedagodzy" redaktor „Głosu Prawdy" p. Wojciech Stpiczyński, skazany przed rokiem na łączną karę 5 miesięcy i 3 tygodni więzienia oraz 428 złotych grzywny. Najodpowiedniejszy to zaiste człowiek na wychowawcę — wychowawców!

*

Z opinją Al. Świętochowskiego (w nr. 20 „Myśli Narodowej") o marszałku Fochu polemizuje w „Kurjerze Porannym" p. Antoni Anusz. Wrażliwy na śmieszność Adolf Nowaczyński ogłasza z tego powodu wesoły fejleton pt. „Pastuch o Pascalu" („Gaz. War" nr. 259). Jest to kaskada śmiechu: „Pocieszny jest, gdy zbyt dosłownie biorąc Bergsonowską tezę o wyższości intuicji nad... erudycją, zanadto ufny w swój „chłopski rozsądek" i w walor przysłowia: „nie święci garnki lepią", porywa się z motyką swego samouctwa i z widłami swej polemiki na słońca, sam ogorzały do cna od miesiąca, głównie maja". A dalej czytamy:

„Antoni Anusz „piszący" „polemikę" z Aleksandrem Świętochowskim to już na serjo przesada. Mówić to ta chyba może. Konduktor od „elektrycznego tramwaja" także rozprawia to i owo o Konstytucji, albo locie podbiegunowym. Powtarza to, co wyczytał. Ale pisał nie będzie o tem, bo od tego inni. Toż człowiecze miły, znajże dystans i zastanów sie! Toż na Aleks. Świętochowskim kształciły się dwa pełne pokolenia. Toż gdyby nie ciężka orka nowym lemieszem Al. Świętochowskiego, ileż to w Polsce, ileż rozmaitych takich mądralów może i świnie pasłoby, albo gnój rozrzucało! Nie masz człowiecze cheba żadnego zrozumienia w mózgownicy zatwardziałej, że na tego pana z panów umysłowych wydziwiać coś tam i urągać zuchwale ważysz się, byle ci tylko w kancelaryji kilka nowych punktów do regestru zasług, bracie, wpisali i oko na ciebie mieli, gdy kolejka jaka przyjdzie".

„Pan Anusz respektu nijakiego przed Nieznanem nie ma. Rozpisuje się tedy nieboraczek o Świętochowskim i o Fochu, jak gdyby nigdy nic i owszem, o wszystkiem można, byle było. Ludziska potem się śmieją co niemiara, a nikt przyjazny uwagi mu nie zwróci: „Antosiu, posiądź że Ty się niżej. Antosiu, pilnujże swego kopyta!... Dajże bracie spokój temu Fochowi, jak cię Foch nie zaczepia. Cheba, gdyby Foch pierwszy, no to co innego. Wtedy i Ty na niego z kopytem. Nie pirwyj"!

*

Sanatorzy ani nie spostrzegli, kiedy utracili z pod nóg polską „platformę". Dwa ich naczelne dzienniki „Głos Prawdy" i „Epoka" („miarodajne" jak się mówiło w Krakowie) wystąpiły w dn. 11 września z enuncjacjami patrjotycznemi żydowskiemi przeciwko Polakom. Powód dali lekarze Polacy, którzy w Ciechocinku jeść chcieli obiad przy osobnym stole. Pisma te wzywają władze państwa, aby poskromiły tych, którzy z żydami nie chcą obcować. Dostaje się też Polakom porządnie: „głupie szelmy", — pisze p. Wassercug. Coraz lepiej! Jesteśmy już pod batem.

*

„Kurjer Wileński" (niezależny organ demokratyczny) w numerze z dn. 2 września b. r. ogłosił bez komentarzy „pełny tekst mowy" wygłoszonej przez premjera litewskiego, Woldemarasa, na zjeździe rolników w Ucianach. Z mowy tej warto tutaj przytoczyć — również bez jakichkolwiek komentarzy — następujący charakterystyczny urywek:

„W walce o stolicę Litwini rozporządzają wielką siłą, której nie mają Polacy. Dla Polski Wilno — to miasto ich wodza: dla niego, Piłsudskiego, jako poszczególnego człowieka, Wilno jest bliskie... Mowa Piłsudskiego jest echem tych dawnych czasów, gdy było „moje miasto", „moi ludzie"...

„Litwę tworzył sam naród, który stał i stoi na straży niepodległości. Gdy będę przemawiał nie powiem, że „Wilno jest moje". Jeżeli mówimy, że „my bez Wilna nie uspokoimy się", to „my" oznacza cały naród. On — naród się nie uspokoi... Oto wielka przewaga, jaką ma Pogoń w walce z Orłem"...

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 11-90.
WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 6, rocznie zł. 24, za granicą kwart. zł. 9. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.
Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI
Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM